

Jessica Steel

Zaręczyny na niby

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie jest łatwo prowadzić samochód, gdy w głowie kłębią się myśli - trudne, przeczące sobie nawzajem, w dodatku nie najweselsze. Długą podróż z lotniska Heathrow do północnej Walii Varnie odbywała w tym stanie ducha. Na domiar złego popsła się pogoda. Na szosę opadła mgła. Zapadał iście listopadowy wieczór - szary, mokry, smętny. W sam raz, by człowiek poczuł się jeszcze gorzej. Varnie liczyła na dotarcie do Aldwyn House w Denbigshire w rekordowym czasie, lecz zła widoczność przekreśliła te nadzieje. Szybka jazda w takich warunkach byłaby czystym szaleństwem.

Opuszczając lotnisko, Varnie nie zamierzała wcale jechać do Walii. W pierwszej chwili, bez zastanowienia, ruszyła w drogę powrotną do rodzinnego domu pod Cheltenham. Jechała już godzinę, gdy nagle się zawahała. Rodzice byli przepracowani. Życie zafundowało im masę stresów i napięć, a teraz, gdy przeszli wreszcie na emeryturę i zaczęli wypływać na spokojniejsze wody, naprawdę nie należało przysparzać im zmartwień.

Ostatnimi czasy mieli aż nadto powodów do niepokoju, począwszy od wypadku samochodowego, któremu uległ jej brat, a skończywszy na kłopotach zdrowotnych ojca... Skoczyło mu ciśnienie... A Johnny... szczerze mówiąc, zawsze był o krok od jakiegoś nieszczęścia. Tym razem, choć rozbił samochód, wyszedł z katastrofy bez szwanku, ale i tak wszyscy martwili się o niego. No i jeszcze ta sprawa z hotelem rodziców. Zaczął przynosić straty i musieli podjąć decyzję o sprzedaży. Zaraz potem zmarł dziadek Sutton. Los jakby się uwziął.

Jednakże, patrząc na to wszystko z jaśniejszej strony... Cóż, hotel w końcu udało się sprzedać, a Johnny - to już prawdziwy cud - choć miał dwadzieścia pięć lat i nigdy nie zagrzał dłużej miejsca na żadnym stanowisku, znalazł sobie swoją niszę i zdobył stałą pracę, którą szybko polubił. Rodzice mogli więc spoglądać w przyszłość z nadzieją na spokojniejsze życie. W pełni na nic zasługiwali. A zatem - Varnie uzmysłowiła to sobie z całą ostrością - nie powinna ich martwić. Nie powinna wracać do domu, by tam lizać rany. Choćby była nawet najlepszą aktorką świata, nie umiałaby ukryć, że jest rozbita. A poza tym rodzice nie spodziewali się jej wcześniej niż za dwa tygodnie.

Błyskawicznie zmieniła kurs, wspominając z roztkliwieniem poranek. Rodzice stali uśmiechnięci na podjeździe nowego domu i machali na pożegnanie.

Uśmiechała się również, podekscytowana perspektywą spędzenia dwutygodniowych wakacji z Martinem.

Martin ciężko pracował, toteż rzadko kiedy pozwalał sobie na urlop. Teraz też zdecydował się na wspólny wyjazd tylko dlatego, że udało mu się połączyć wypoczynek ze sprawami służbowymi. Popołudnia mogliby spędzać razem, a to pozwoliłoby im poznać się bliżej. Varnie uznała to za zrządzenie losu. Rano rozsadzała ją radość, ale teraz... Daleko jej było do pogody ducha. Całe szczęście, że w skrytce samochodowej zauważyła klucze do Aldwyn House. Zostawiła je przez roztargnienie, gdy wracała stamtąd ostatnim razem.

Myślała o sobie jak najgorzej. Głupia gęś, kompletna kretyńka! Jak w ogóle mogła... Wielkie nieba! Gdyby nie zaczęło jej trochę irytować, że Martin Walker się spóźnia, leciałaby z nim teraz samolotem do Szwajcarii.

Martin prosił, żeby nie telefonowała do niego do pracy. „Mamy masę roboty, jestem wciąż gdzie indziej, więc i tak mnie nie złapiesz” - mówił. Dostosowała się do tej reguły i aż dotąd nigdy jej nie złamała. Spróbowała zatem dodzwonić się na komórkę, ale telefon był wyłączony. Co tu robić? Zniecierpliwiona kręciła się po terminalu z walizką w ręku, aż w końcu poszła kupić gazetę. Usiadła i na moment zapomniała o Martinie. Jej uwagę przykuło zdjęcie na pierwszej stronie. Przedstawiało dwóch mężczyzn, między którymi doszło do bójki.

Z podpisu wynikało, że napastnikiem był nie kto inny, jak nowy szef jej brata, Leon Beaumont. Fotograf uchwycił moment, gdy po ciosie Beaumonta uderzony człowiek zwałił się na ziemię. Okropność!

Szybko przeczytała prasowe doniesienie. Wynikało z niego, choć dziennikarz posłużył się typowym eufemizmem: „można domniemywać”, że Leon Beaumont miał romans z jedną ze swych pracownic - z boku zamieszczono zdjęcie Antonii King, bardzo efektownej brunetki - i jej mąż dowiedział się o zdradzie. Dlaczego na ziemi, trzymając się za twarz, leżał spoliczkowany Neville King, a nie Beaumont, można się było tylko domyślać. Jednakże Beaumont wyglądał groźnie i widać było, że chętnie kontynuowałby walkę.

Varnie straciła nagle zainteresowanie dla całej tej historii. Co ją mógł obchodzić jakiś furiat, choćby nawet był pracodawcą jej brata? Owszem, Johnny go uwielbiał, jednak... Oj, naprawdę... Zerknęła na zegarek i pomyślała, że jeśli w ogóle chce się dodzwonić, to czas najwyższy, żeby zacząć działać. Za dziesięć minut centralka w firmie Martina kończyła pracę. Varnie odczekała jeszcze trzy minuty, lecz Martin się nie pojawił. Miała naprawdę dość tego czekania. Na litość boską, co się dzieje... Twierdził, że co prawda wziął urlop, ale musi jeszcze... E tam! Wyjęła telefon komórkowy i wystukała numer do firmy. Wypadało tylko mieć nadzieję, że no-

wa sekretarka nie urywa się z biura dziesięć minut przed końcem pracy. Telefonistka z centrali połączyła Varnie z sekretariatem.

-Halo. - Varnie przypomniała sobie raptem imię sekretarki. - Czy rozmawiam z Becky?

-Tak, to ja - odpowiedział jej miły, dziewczęcy głos.

-Czy zastałam Martina? Może jest przypadkiem gdzieś w pobliżu?

-Oj, nie. Wyszedł dawno temu. - Varnie odczuła ulgę, lecz zanim zdążyła podziękować, powiedzieć „do widzenia” i rozłączyć się, usłyszała: - Pani Walker, tak? Czy jest już pani z dziećmi w Kenilworth? Wszystko w porządku?

-Nie... - wybąkała Varnie. - To znaczy... - Jaka znowu pani Walker? - myślała gorączkowo. Matka Martina? Ale... dzieci?

-Och, rozumiem. Przepraszam, nie przedstawiłam się. Wzięła mnie pani za kogoś z rodziny Martina - powiedziała spokojnie. Pięć lat pracy w hotelu nauczyło ją maskować niepokój i szybko reagować na nieprzewidziane sytuacje.

-Proszę wybaczyc - odpowiedziała Becky. - Naprawdę przepraszam za pomyłkę, tylko że... pani Walker. .. Melanie była tutaj ze swymi pociechami w porze lunchu. Wybierała się z dziećmi do matki, miała tam zamieszkać na czas nieobecności męża.

Varnie przeżyła taki szok, że aż zaniemówiła. To, cze-

go dowiedziała się przed chwilą, dosłownie nie mieściło się jej w głowie.

-Rozumiem - wydusiła z trudem. - To znaczy... Nie, to chyba jakaś pomyłka. Martin jest żonaty?

-Oczywiście - przyznała prostodusznie Becky. - Są z Melanie taką szczęśliwą parą... Oczywiście wolałby nie zostawiać żony samej, ale praca to praca, więc...

Varnie błyskawicznie przerwała połączenie. Wyłączyła komórkę i usiadła kompletnie oszołomiona. To jakieś nieporozumienie, zupełna bzdura. Na litość boską, przecież Martin twierdził, że ją kocha, że ten wyjazd, te dwa tygodnie pozwolą im nareszcie nacieszyć się sobą. Tak czekała na ten urlop. Martin był bardzo zajęty, spotykali się jedynie wtedy, gdy bawił w Cheltenham przejazdem, załatwiając sprawy służbowe... Nocował wtedy w hoteliku Metcalfe'ów.

Rodzice szybko go polubili. Gdy powiedziała, że ten wypad ma wynagrodzić jej i Martinowi wszystkie weekendy, kiedy nie mógł wyrwać się z Londynu, życzyli jej wszystkiego najlepszego. Nie dziwiło ich wcale, że Martin jest nieustannie zajęty i pracuje nawet w soboty i niedziele. Znali tę sytuację aż nadto dobrze z własnego życia. Prowadzenie hotelu oznaczało pracę na okrągło przez siedem dni w tygodniu. Tak, wszystko to prawda, ale... do serca Varnie zaczęły się wkradać wątpliwości. Usiłowała sobie przypomnieć choćby jeden weekend,

który - mimo wszystko - zdołali spędzić razem... Nie zdarzyło się to ani razu. Dlaczego? Czy Martin rzeczywiście pracował na okrągło, czy też - jak mogłoby wynikać z tego, czego przed chwilą się dowiedziała - wolne dni spędzał z żoną i dziećmi? Dzieci?! Varnie poderwała się na równe nogi, przeszła dwa kroki i nagle spostrzegła Martina. Szedł szybko w jej stronę, uśmiechając się rozbrajająco.

- Bardzo, ale to bardzo cię przepraszam, moje ty kochanie. Okropne są te korki.. - Chciał ją objąć, lecz ostudziła go mina Varnie. - Co ci...

- Powiedz mi jasno - ucięła. - Jesteś żonaty?

Zmieszał się wyraźnie, a Varnie zrobiło się zimno.

Nie wiedzieć czemu, spodziewała się błyskawicznego zaprzeczenia.

-Hej, co jest grane? - Z przekornym uśmiechem usiłował wziąć ją za rękę.

-Jesteś? - powtórzyła, nienawidząc się za to, że gdyby powiedział: „Nie”, gotowa mu była uwierzyć.

- No... Jesteśmy w separacji. - Prędko wziął się w garść. - Rozwódzimy się. Nie widziałem się z nią od bardzo dawna, ale zaraz po naszym powrocie nadam szybszy bieg całej sprawie.

Varnie poczuła, że zamienia się w bryłę lodu. Sięgnęła po walizkę.

- Żegnam cię - powiedziała. Domyślił się chyba, że

wszystko, co ewentualnie miałyby do powiedzenia, padnie w próżnię i że Varnie ma w nosie jego samego i jego kłamstwa, gdyż nawet nie usiłował jej zatrzymać.

I faktycznie, nie obchodziło jej nic, *co* mógłby powiedzieć. Czuli obrzydzenie, wstręt, mdłości. Najtrudniej było oswoić się z myślą, że tak łatwo dała się wykołować. Że również rodzice, ludzie o niebo od niej mądrzejsi i wielce doświadczeni, pozwolili się nabrać i wziąć na lep zwodniczego uroku Walkera.

Kompletnie zdruzgotana dotarła do swego samochodu. Martin żonaty?! Tak, był żonaty i... dzieciaty, a z nią.., Z nią się tylko pokątnie umawiał. Ot, przelotne spotkania przy okazji służbowych wyjazdów. Ale... mieli przecież razem wyjechać! Uzgodnili to z sobą, chciała tego... Na litość boską! Zrobił z niej idiotkę, oszukał rodziców. Wróciła myślami do czasu, kiedy się poznali. Zatrzymywał się na noc w ich ładnym i stosunkowo niedrogim hoteliku. Któregoś wieczoru obsługiwała gości w barze. Podała mu drinka, zaczęli rozmawiać. Powiedział, że ma trzydzieści cztery lata, ale wciąż nie jest ustawiony i pracuje na okrągło, żeby rozkręcić własny biznes. Zwierzyła się rodzicom. Przyjęli to ze zrozumieniem. Czy w młodości nie postępowali tak samo? A teraz? Czy nie żyli podobnie? I póki hotel, dopiero niedawno, nie został wystawiony na sprzedaż i nie znalazł nabywcy, harowali dzień i noc.

Chętnych do kupna małych, prywatnych hoteli nie ma tak wielu, więc trzy miesiące później borykali się dalej z jego prowadzeniem. Martin stał się częstym gościem. Zaczął interesować się Varnie. Polubiła go. Rodzice cieszyli się, gdy czasem zatrzymywał się na dwie kolejne noce - był to zawsze jakiś dochód - a obsługę miłego gościa powierzyli córce. I tak się to wreszcie potoczyło, że Varnie i Martin zostali parą. Dzwonił do niej codziennie, zazwyczaj około trzeciej po południu, gdy zajmowała się w biurze księgowością czy wypisywaniem menu na maszynie. Bardzo się starała być w tym czasie na miejscu, chociaż od zawsze stawała do pracy, gdy ktoś z personelu zawiadamiał, że nie może przyjść na swoją zmianę, bo ma kłopoty. Oboje, i ona, i Martin byli wciąż bardzo zajęci pracą, wydawało się więc, że mimo wzajemnego zauroczenia znajomość ta pozostanie sympatią, niczym więcej.

Któregoś dnia do hotelu zadzwoniła z Aldwyn House gospoia dziadka Suttona. Powiedziała, że kiedy przyszła, leżał na podłodze w salonie, wezwała więc lekarza. Dziadek, czego należało się spodziewać, nie zgodził się na hospitalizację, toteż Varnie z matką natychmiast do niego pojechały.

Varnie poczuła ucisk w gardle, przypominając sobie ten straszny czas. Dziadek Sutton zmarł trzy dni później. Bardzo go kochała. Z najbliższej rodziny miał tyl-

ko ją. W dzieciństwie spędzała u niego wszystkie święta. Johnny też bywał często w Aldwyn House, a dziadek traktował ich na równi, chociaż Johnny był tak naprawdę jedynie jego przyszywanym wnukiem, a jej przyrodnim bratem.

Ojciec Johnny'ego był jedynym tatą, jakiego Varnie znała. Jej rodzony zmarł, gdy była jeszcze w kołysce. Miała dwa lata, a Johnny pięć, kiedy Robert Metcalfe, jego ojciec, rozwodnik, ożenił się z jej matką. Varnie zachowała nazwisko Sutton, ale czuła się w pełni członkiem rodziny. Ojczym kochał ją jak biologiczny ojciec, którego nie pamiętała.

Gdy wrócili z Walii po pogrzebie dziadka, Martin akurat nocował w hotelu. Była wtedy bardzo przybita, więc kiedy powiedział czule, że ją kocha, ona również wyznała mu miłość... Varnie raptownie odsunęła od siebie wspomnienie czegoś, co okazało się z gruntu fałszywe, i próbowała skupić myśli na czymś innym. Johnny... A właśnie. Johnny, jej brat, ten lekkoduch... Nie chciał mieć nic wspólnego z hotelarstwem i przy pierwszej sposobności przeniósł się do Londynu. Był bystry i gdyby kiedykolwiek skupił się na robieniu kariery, na pewno odniósłby sukces. Jednakże mimo dużych możliwości, a może właśnie dlatego, że interesowało go mnóstwo rzeczy, łatwo się zniechęcał i nadal szukał swego miejsca. Potrzebował pieniędzy, oczywi-

ście, podejmował więc rozmaite prace, ostatnio urzędnicze, lecz wytrzymywał na posadzie krótko, dopóki nie dopiekła mu nuda.

-Wywalili mnie - stwierdził lekko, gdy ostatnio stracił pracę dosłownie z dnia na dzień.

-Tak mi przykro - odpowiedziała, patrząc na niego ze współczuciem.

-A mnie wcale - roześmiał się. - Wielka mi sprawa.

Och, Johnny, Johnny... Varnie uśmiechnęła się czule na myśl o bracie. Mgła gęstniała coraz bardziej i jazda stała się naprawdę niebezpieczna. A Johnny... Wyglądało na to, że i jej, i rodzicom przyjdzie martwić się o niego do końca życia. Miał jakąś szczególną skłonność do wpadania w tarapaty. Och, jak żywo pamiętała ten dzień, gdy rozbił samochód. Wszyscy troje pędzili do Londynu, przerażeni, z niepokojem, pełni najgorszych przeczuć. Na miejscu dowiedzieli się, że właśnie wypisał się ze szpitala i... poszedł na piwo. Czasami Varnie dochodziła do wniosku, że Johnny jest przybyszem z innej planety.

Po sprzedaży hotelu, spłacie domu i załatwieniu wszelkich zobowiązań finansowych okazało się, że rodzice dysponują jeszcze sporym kapitałem. Przeznaczyli więc dla Johnny'ego pewną sumkę, którą natychmiast spożytkował, organizując sobie miesięczny wyjazd do przyjaciół w Australii. Krótko potem obwieścił rodzi-

nie, że znalazł pracę, jakiej, jak twierdził, szukał od lat. „To coś wymarzonego dla mnie... Och, Varnie, mówię ci...” Praca miała polegać na asystowaniu w podróżach służbowych pewnemu biznesmenowi nazwiskiem Beaumont. Ów wspaniały, zdaniem Johnny'ego, szef przebywał często poza biurem, odbywając podróże po Wielkiej Brytanii i świecie. Johnny'emu tak bardzo zależało na otrzymaniu i zachowaniu tego stanowiska, że gotów był odwołać wyjazd do Australii. Nie musiał jednak z niczego rezygnować, gdyż Beaumont zgodził się na niego poczekać. Tak się bowiem składało, że australijskie wakacje przyszłego asystenta wpasowały się w czas jego własnego urlopu. Johnny wyruszył więc dzisiaj do Australii. Wyleciał z Heathrow na parę godzin przed fiaskiem, jakim zakończyły się jej marzenia o podróży z Martinem. Ech... Nie chciało się jej nawet wspominać sceny z lotniska. Pomyślała o ojczymie, który zabezpieczył ją finansowo, i o dziadku, który zapisał jej w spadku Aldwyn House. Zdawała sobie jednak sprawę, że mimo najlepszych chęci nie będzie w stanie utrzymać dużej posiadłości. Oczywiście mogła ją sprzedać, i to za sporą sumę. Na razie nie była jednak bogata, choć mogła sobie pozwolić, by opłacić przelot do Szwajcarii. Szkoda, bo Martin Walker powinien się szarpnąć na jej bilet, z pewnością było go na to stać. Hm, chociaż właściwie w ogóle nie wystąpił z taką propozycją.

Zdecydowanie się na wyjazd z nim nie przyszło łatwo. Nigdy dotąd nie podróżowała z mężczyzną, który się jej podobał. Jednakże w całym tym zamęcie, jaki przeżywali, i po stracie dziadka, zatęskniła za odrobiną luzu. I, o czym nie należało zapominać, kochała Martina.

Czyżby? Czy kochała go naprawdę? Do licha, chyba tak! Czy nie zastanawiała się nawet nad podjęciem jakiejś pracy w Londynie, byle tylko być bliżej niego i móc się z nim częściej widywać? A teraz... co czuła? Przede wszystkim złość. Wściekłość, że na świecie są tacy faceci. Czuła się wykiwana, wbita w ziemię. Nie była z natury depresyjna, a jednak przeżywała coś w rodzaju wewnętrznego odrętwienia i zastanawiała się, czy nie jest to przypadkiem zapowiedź wielkiego bólu, który owładnie nią, gdy minie szok.

Poczuła nagle piasek pod powiekami. Tak długo już wyteżęła wzrok, przebijając się przez mgłę, że bolały ją oczy. Przy pierwszej sposobności zatrzymała się, wyłączyła silnik i weszła na kawę do przydrożnego baru. Okazało się, że nie była jedynym kierowcą, który miał ochotę odpocząć w tych iście szatańskich warunkach pogodowych. Stała w kolejce, a kiedy wreszcie dostała kawę, znalazła wolne miejsce i postanowiła się nie spieszyć. Jeśli ta mgła spowijała cały kraj, jazda karkołomnymi górskimi drogami byłaby koszmarem. W końcu jednak, widząc, że do baru wciąż napływają nowi utru-

dzeni ludzie, zwolniła miejsce i poszła posiedzieć w samochodzie. Cieszyło ją nawet, że znów, zamiast odrętwienia, ogarnia ją złość.

- Mężczyźni! - parsknęła, choć musiała natychmiast skorygować swoją wzgardliwą opinię. Dziadek był samą słodyczą, ojczym okazał jej wielkie serce, traktował ją jak rodzoną córkę, a Johnny... Johnny co prawda pakował się ciągle w jakieś tarapaty, ale był z gruntu uczciwy, czego niestety nie można było powiedzieć o Martinie. Czy to uczciwe mówić kobiecie, że się ją kocha, a jednocześnie być żonatym? Miał nawet dzieci! Mężczyźni... Takich jak Walker były tysiące. A ten niejaki Beaumont... Zwykła świnią. Nie obchodziłoby jej to ani trochę, gdyby Johnny nie miał u niego pracować. Czy ten świetlany szefunio wywołał skandal i doprowadził do rozwodu tylko jeden raz, czy też może za jego przyczyną rozpadło się już niejedno małżeństwo?

Varnie przyłapała się na tym, że, nie wiedząc czemu, ciągle wraca myślą do osoby Beaumonta. Było to dziwne, gdyż póki nie zobaczyła go dziś na zdjęciu w gazecie, nie miała pojęcia, jak wygląda człowiek, który tak zachwyił jej brata. Johnny twierdził, że jest kawalerem. Bogaty, przystojny i... kawaler. Powiedzmy, pomyślała złośliwie. Nie wierzyła już w kawalerów po trzydziestce, a ten cały Beaumont wyglądał na starszego od Martina zaledwie o rok czy dwa. Jednakże, o ile Walker dopie-

ro usiłował rozkręcić biznes - jeśli w ogóle to, co mówił, było prawdą - Leon Beaumont, szef międzynarodowej firmy telekomunikacyjnej, już tego dokonał. Johnny ubiegał się o stanowisko jego asystenta bez wielkich nadziei, ale czuł, że podczas interview wypadł niezłe. Potem codziennie wydzwaniał do domu, spanikowany brakiem wieści. Kiedy wreszcie zatelefonował, żeby powiedzieć: „Udało się! Zostałem zatrudniony”, Varnie bardzo się ucieszyła, choć przewidywała, że po miesiącu praktyki entuzjazm Johnn’ego nieco zblednie. Ale nie, nic takiego się nie stało. Wydawało się, że Beaumont dosłownie go zaczarował. Johnny woził go po całym kraju i uczył się, przyglądając się swemu, szefowi w działaniu. „Leon to, Leon tamto” - relacjonował z przejęciem. Mówił o nim w samych superlatywach. Nie znosił ludzi miałkich, twierdził też, że w życiu nie poznał nikogo o tak bystrym umyśle. Imponowało mu to, że jego szef nie akceptuje bzdur, mówi jasno to, co myśli, nie cierpi lizusostwa ani przysług, jest absolutnie niezależny i niczego nikomu nie zawdzięcza.

Jeśli nawet całej rodzinie znana była skłonność Johnny’ego do przesadnych i mało odpowiedzialnych zachowań, to wydawać się mogło, że tym razem naprawdę zaczyna się ustawiać. A zatem: hotel był sprzedany, Johnny się ustawił, rodzicom nie groził niedostatek. Wyglądało na to, że obecnie tylko ona, Varnie, miała

problemy. Po co więc jechać do domu i burzyć spokój? Zadowolona z powziętej decyzji, była najgłębiej przekonana o tym, że nie będzie jej żałowała, gdy położy się spać w domu dziadka. Zresztą w chwili, kiedy wjechała w góry, zastanawianie się nad czymkolwiek poza tym, jak wziąć kolejny zakręt, przestało być możliwe. Całą uwagę pochłaniała jazda. Dopiero po północy Varnie wyjechała wreszcie na prostą drogę i mogła znów myśleć swobodnie. Bardzo to było dziwne, ale chociaż rodzina i Martin zajmowali w jej rozmyślaniach poczesne miejsce, wkradał się w nie również szef Johnny'ego. Wy-nocha! - pomyślała ze złością, gdy po raz kolejny z rzędu zamajaczył jej przed oczyma jego wizerunek ze zdjęcia. W interesach może i faktycznie ten cały Beaumont był czysty jak łąka, szkoda tylko, że jego prywatne życie pozostawiało wiele do życzenia.

Była pierwsza w nocy, gdy Varnie wyminęła osiedle stanowiące najbliższe sąsiedztwo Aldwyn House. Po chwili wysiadła na sztywnych nogach z samochodu, by otworzyć bramę. Wjechała na podwórze i nagle poczuła się zbyt zdruzona, by choćby pomyśleć o zamknięciu wrót. Zostawiła samochód przed garażem. Zabrakło jej sił, by walczyć z ciężkimi drzwiami.

Z kluczami i lotniczą torbą w jednej ręce, z walizką w drugiej, Varnie przeszła na tyły domu i skorzystała z wejścia od kuchni. Zapaliła światło i od razu zorien-

towała się, że ktoś tu niedawno był. Nieważne. Johnny dysponował własnym kluczem. Kochany chłopak... Pewnie przyjechał zrobić porządek z rzeczami po dziadku w czasie, gdy ją i rodziców zajmowało pakowanie hotelowego dobytku. Zapalając i gasząc kolejne światła, Varnie przeszła przez kuchnię. Zauważyła, że chociaż Johnny nie schował do kredensu filiżanki i spodeczka, z których korzystał, robiąc sobie kawę, umył je i zostawił na suszarce. Schodami weszła na piętro, kierując się prosto do pokoju, z którego korzystała zawsze podczas wizyt u dziadka. Był mniejszy od dużej sypialni, ale przytulny, a z okna rozciągał się piękny widok.

Przysiadła na łóżku i zdjęła buty. Uff! Kończył się jeden z najgorszych dni w jej życiu. Miała ochotę się położyć, więc ucieszyła się, że łóżko jest posłane. Powinna rozpakować walizkę... Tak, tylko gdzie jest kluczyk? Do której z przegródek torby go włożyła? Ze zmęczenia nie mogła sobie przypomnieć. Nieważne, pomyślała leniwie. Weszła do łóżka i ledwie przyłożyła głowę do poduszki, mocno zasnęła. Mimo wyczerpania obudziła się jak zwykle o szóstej i leżała w ciemnościach, dziwiąc się sobie. Jak to możliwe, żeby po tylu wrażeniach usnąć w jednej sekundzie i spać kamiennym snem?

Raptem dotarło do niej parę szczegółów, na które, zmęczona drogą, nie zwróciła w nocy uwagi. W domu było ciepło! Johnny... Oczywiście. Włączył centralne

ogrzewanie i zapomniał je wyłączyć, wychodząc. Dziękuję, braciszku. Zapaliła boczną lampkę, uśmiechając się serdecznie na myśl o nim. Australijczyk jeden... Jego przyjaciele z antypodów bardzo, ale to bardzo go lubili. Z radością pomyślała też o tym, że nie będzie musiała męczyć się z kapryśnym prysznicem przy swoim pokoju. Ciśnienie było w nim żadne, woda leciała słabiutko albo w ogóle. W łazience przy dużej sypialni był drugi, lepszy. Powinna coś na siebie narzucić, ale musiałyby znaleźć klucz do walizki, a marzyła, żeby się wreszcie wykąpać. Nago wybiegła z pokoju, namacała po ciemku na półce ściennej szafy w korytarzu duży ręcznik, przerzuciła go przez ramię i weszła do dużego pokoju ze świadomością, że ma cały dom dla siebie, więc nie musi przejmować się tym, jak wygląda i co robi. Dopiero kiedy znalazła się na środku sypialni, dotarło do niej, że wcale nie jest sama. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i zszokowana spojrzała na rozścielone łóżko, lecz zanim zdążyła zmusić umysł do działania, zapalone przez nią światło zaalarmowało śpiącego mężczyznę. Usiadł niechętnie, wybity ze snu, i odrzucił kołdrę. Oczom Varnie ukazał się nagi tors i bok poślodka. Mężczyzna spał nago - podobnie jak ona.

- Co to? Ojej! - wyrzuciła z siebie, purpurowa na twarzy, patrząc oczami jak spodki na ciemnowłosego mężczyznę, który podnosił się z pościeli. Coś z jej prze-

rażenia musiało do niego dotrzeć, gdyż na moment powstrzymał się od wyskoczenia nago z łóżka. Tak, ulitował się nad nią, była pewna, że jej zażenowaniem niespecjalnie się przejął.

- Nie wydaje mi się, żeby nas sobie przedstawiono - powiedział nonszalancko.

- Przywitamy się?

Niezmieszany ani trochę własną nagością, leniwie przyglądał się jej... pośladkom. Obrzucił spojrzeniem całą jej postać i zrzucając z siebie przykrycie już, już miał wstać, gdy Varnie otrząsnęła się z szoku i nawet nie zasłaniając się ręcznikiem, umknęła. Wpadła biegiem do swego pokoju i zatrzasnęła drzwi. Oddychała ciężko i cała się trzęsła. Johnny! Ach, ty... Gdyby teraz mogła dostać brata w swoje ręce, toby go chyba zamordowała. Jak mógł ją tak urządzić?! Zaprosił kogoś nieznanego do domu, o którym zaczynała już myśleć jak o swoim. Znał tego kogoś, to oczywiste. Ona zresztą... też, od momentu, gdy zobaczyła tamto zdjęcie w gazecie. Nie musiał się jej przedstawiać... Absolutnie... Wiedziała, kto zacz. Ale co, u licha, Leon Beaumont porabiał w ich domu? Co gorsza, widział ją nagą. Nigdy w życiu nie paradowała nago przed mężczyzną! Jak miała się zachować? O matko! Jak w ogóle spojrzę mu teraz w twarz?

ROZDZIAŁ DRUGI

W pośpiechu, rzucając co chwila nerwowe spojrzenie w stronę zamkniętych drzwi, Varnie owinęła się ręcznikiem i namacała w którejś z przegródek torby kluczyk do walizki. Otworzyła ją i roztrzęsiona wyjęła bieliznę, spodnie i bluzkę. Z dużej sypialni dobiegały zwyczajne, spokojne dźwięki. Potem zaszumiał prysznic. Oj, jakże nienawidziła Beaumonta! Tak się bała jego najścia, że zrezygnowała nawet z myśli o skorzystaniu ze swego dychawicznego prysznica, gdy tymczasem ten drań najzwyczajniej rozkoszował się poranną toaletą! Varnie umyła tylko twarz, przeczesała włosy i zeszła schodami do kuchni, żeby... poczekać. Jednak Beaumontowi wyraźnie się nie spieszyło. Mijały kolejne minuty, a on wciąż się nie pojawiał. Uspokoila się trochę. Zaczęła nawet myśleć, że może niepotrzebnie wpadła w popłoch, bo przecież nie stało się nic strasznego. Johnny najpewniej powiedział szefowi, że dom jest własnością jego siostry i... A jeśli nie? Z Johnnym nigdy nie było pewne. Zachowywał się czasami kompletnie nie-

odpowiedzialnie. Bardzo możliwe, że Leon Beaumont nie miał najmniejszego pojęcia, kim była. Może należało po prostu wyjść, wsiąść do samochodu i wyjechać? W Cheltenham byłaby przed... Chwileczkę! Przecież to był jej dom. Nie jego! I wcale nie marzyło jej się spotkanie z rodzicami. Zaraz by się zaczęło wałkowanie perfidnego numeru, jaki wyciął jej Martin... Nie miała pojęcia, co tu robił Beaumont, ale to nie ona powinna opuścić Aldwyn House, tylko on!

Podjąwszy decyzję, Varnie wyszła z kuchni do holu i stanęła przy schodach. Dudnienie pompy od prysznica ucichło. Woda przestała płynąć. Beaumont zakończył kąpiel. Woląta nie oglądać go rozebranego, więc postanowiła nie wchodzić na górę i zachowała swoje uwagi na później. Ma się wynieść, i tyle. Był szefem brata, ale nie jej! Już miała wejść z powrotem do kuchni, gdy zauważyła stertę poczty na podłodze przy drzwiach wejściowych. Kiedy była tu ostatnim razem, sprzątnęła wszystko, co wpadało codziennie przez skrzynkę na korespondencję, ale znów zebrały się tego całe góry. Uprzątnęła więc reklamowe druki w plastikowych koszulkach i raptem pośród nich mignęła biała, niezaadresowana koperta. Varnie podniosła ją, przeszła do kuchni, otworzyła i bardzo prędko zrozumiała, dlaczego jej brat pozwolił Beaumontowi zamieszkać w jej domu.

List pochodził od byłej gosposi dziadka, pani Lloyd,

i był odpowiedzią na telefon od Johnny'ego. Na kopercie nie było co prawda jego imienia, ale karteczka zaczynała się od słów: „Drogi pan Metcalfe”. Pani Lloyd pisała: *Nie było mnie, kiedy pan wczoraj dzwonił. Żałuję, ale nie będę mogła zająć się pańskim gościem.*

Zawiadamiła dalej, że jeśli zależy mu na zatrudnieniu gosposi, to powinien zadzwonić do niejkiej pani Roberts, która być może zgodziłaby się podjąć pracę.

Varnie wstrzymała oddech. Raptem przeszło jej przez myśl, że prawdopodobnie Beaumont zamierzał zatrzymać się w Aldwyn House na dłużej. A więc to tak, myślała, wściekła na Johnny'ego. Jego szef zwierzył mu się, że chętnie by odpoczął od rozjuszonych mężów i afer miłosnych, a Johnny uznał dom dziadka Suttona za idealną kryjówkę i natychmiast postanowił pomóc szefowi. Cały Johnny! Wiedział, że nie będzie jej w kraju przez całe dwa tygodnie, więc nie uznał za stosowne powiadomić ją o zaistniałej sytuacji. No tak, przecież wybierała się do Szwajcarii... Była najzupełniej pewna, że nawet nie pomyślał o tym, by poinformować pracodawcę, do kogo należy dom.

Gniewne rozmyślenia przerwały jej czyjeś kroki. Spojrzała w stronę drzwi i spłoszyła. W progu stał Beaumont. Wszedł do kuchni, pozostawiając jej nagły rumieniec bez komentarza. Cóż, widok rozebranej kobiety to dla niego nie pierwszozna, pomyślała drwiąco. Już miała powiedzieć, że skoro się ubrał, to może się wynosić, gdy zapytał:

-Jak się nazywasz?

-Varnie Sutton - odburknęła. Była ciekawa, czyjej nazwisko coś mu mówi. Najwyraźniej z niczym go nie kojarzył, a zatem wszystko jasne: Johnny'emu nie przyszło do głowy, żeby wspomnieć szefowi o siostrze. W zwykłych okolicznościach byłoby to całkiem zrozumiałe, ale... do licha, to był jej dom! Nawet jeśli musiała go sprzedać! Najwyższy czas, by posłać tego faceta w diabły. - Leon Beaumont? Czy tak? - zaczęła sztywno.

-Wiesz, kim jestem?

-W każdym razie nie senną marą - rzuciła ze złością.

-Skąd wiesz, kim jestem? - powtórzył, ignorując jej ton. - Dałem Metcalfeowi wyraźne polecenie. Obiecał mi znaleźć jakieś ustronie. Mam dość użerania się z niepożądanymi intruzami.

Z intruzami? Co takiego? Czyżby mu się wydawało, że polowała na niego? Varnie wzięła się w garść. Miała absolutnie dość mężczyzn, a tego tu w szczególności.

-Pragnę poinformować - wysyczała - że w żadnym wypadku nie zamierzam wchodzić ci w paradę. Informuję również, że...

Popatrzył na nią sceptycznie.

- I dlatego weszłaś nago do mego pokoju? Bo cię nie interesuję, tak? Wystarczyło, żebyś kiwnął palcem, a w sekundę wśląbyś mi do łóżka.

Varnie oniemiała. Poczwała, że cała płonie. Niesamo-

wite! Co ten facet sobie roił? Odetchnęła głęboko i wzięła się w garść.

-Prędzej połknęłabym cyjanek. Tak mnie pożerałeś oczami, że... - Och, czemu nie ugryzła się w język? - Gdyby nie to - brnęła dalej - zauważyłbyś pewnie, że trzymam ręcznik. Weszłam do pokoju, w którym spałeś, tylko z jednego powodu. Zamierzałam wziąć prysznic. Nie wiedziałam, że ktoś tam jest.

-A prysznic przy twoim pokoju nie działa?

-Przy jakim pokoju?

- No, tamtym małym. Spałaś w nim.

A to świnia!

- Mój prysznic wymaga naprawy. Ten przy dużej sypialni jest lepszy.

Dlaczego w ogóle się tłumaczyła? O matko...

-Znasz ten dom, tak?

-Nie jestem tu pierwszy raz. Beaumont patrzył na nią podejrzliwie.

-Z rozmiarów twojej walizki wnioskuję, że miałabyś ochotę pobyć tu nieco dłużej...

-W zasadzie tak... - zaczęła, lecz natychmiast wszedł jej w słowo.

-Znasz Johna Metcalfea?

Miała już przytaknąć i oznajmić, że Johnny jest jej bratem, ale zawahała się.

- No tak, rozumiem. Znaście się bardzo dobrze, ty

i ten mój świeżo upieczony asystent. Niedorajda! Nie popracuje u mnie długo, o nie!

Varnie zdębiała. Wyobraziła sobie Johnny'ego. Tak się starał, tak mu zależało na pracy u tego gbur. Westchnęła ciężko. Bratu groziła utrata wymarzonego stanowiska, więc trzeba zapomnieć o dumie. Jednak nie zamierzała podlizywać się jego szefowi, który teraz mierzył ją lodowatym wzrokiem.

-Twój asystent to nadzwyczaj sumienny, zapobiegliwy człowiek - powiedziała z mocą.

-Czy aby na pewno? - zadrwił Beaumont. - Wiesz coś na ten temat? Dowiem się czegoś zaskakującego?

-Na pewno. No... na przykład ta sprawa ze znalezieniem pomocy domowej... Kosztowała go sporo zachodu. - Chwała Bogu, że przeczytała ten liścik!

-Chodzi o panią Lloyd?

Szlag by go trafił. Wiedział o wszystkim.

-Przyjechałam wczoraj późną nocą... - powiedziała trochę bez sensu.

-To już wiem - stwierdził lakonicznie. - Sam dojechałem tu ledwie żywy ze zmęczenia.

O matko! Znowu się nabzdyczył. Nie popuściłaby mu ani o włos, gdyby nie Johnny. Jeśli nawet za to, co zrobił, najchętniej udusiłaby brata gołymi rękami, przecież nie mogła go pograżyć.

- Mgła była faktycznie okropna... - przytaknęła potul-

nie, lecz Beaumont nie podjął tematu. - Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że... Myślałam, że przyjedziesz dopiero dzisiaj... Ta mgła i w ogóle... A samochód? Wstawiłeś go już pewnie do garażu... - Umilkła, wyczuwając, że Beaumont ma dość jej nieskładnej paplaniny.

- Dobra - uciął agresywnie. - Mów, co tu robisz. Jak się tu w ogóle dostałaś?

Powiedz mu, nakłaniał ją wewnętrzny głos. Zaraz będzie po wszystkim. Ale... gdyby po prostu powiedziała temu człowiekowi prawdę, Johnny byłby spalony.

- Oj, bardzo przepraszam - szepnęła. - Już wyjaśniam. W jałowcu przy komórce na narzędzia jest zawsze zapasowy klucz... Pani Lloyd nie mogła podjąć się pracy... Jestem tu zamiast niej. - Aż ją замуrowało. Na prawdę wymyśliła coś tak bzdurnego?

Spojrzała na Beaumonta. Też w to nie wierzył.

-Jesteś służącą?

-Tak. - Pragnąc osłaniać Johnny'ego, nie miała wyboru. .. i szła w zaparte.

W odpowiedzi szybko wziął ją za rękę i obejrzał dłonie. Nieczęsto robiła sobie manikiur, lecz przecież, u licha, wyjeżdżała na urlop, i to z kimś, kto do wczoraj wydawał się bliski jej sercu. Dlaczego więc nie miałyby się podszycować i zadbać o paznokcie?

- Te rączki nigdy nie zaznały ciężkiej pracy - stwierdził Beaumont, odsuwając je z niesmakiem.

- Nieprawda! - zaprotestowała żywo.

- Upierasz się zatem, że jesteś... posługaczką?... - Musiało mu się to wydawać takim absurdem, że wyglądał, jakby zbierało mu się na śmiech. Nie roześmiał się jednak. - To ciekawe.

-Owszem. Pracowałam w branży hotelarskiej. Zajmowałam się wszystkim, czego ode mnie wymagano. Byłam pokojówką, sprzątaczką, szefową kuchni, sekretarką, księgową...

-Masz za sobą szkołę hotelarską? - Chyba zaczynał brać pod uwagę taką możliwość. - Więc co się stało? Jesteś bez pracy? Dlaczego?

-Bo... - O matko, co opowiadał mu Johnny? - Bo hotel został sprzedany... Wszedł w posiadanie większej sieci. Byłyśmy dwie, wykonywałyśmy podobną robotę, no i...

-Wylali cię!

Och, z jaką ochotą podbiłaby mu oko albo obila całą tę pyszałkowatą gębę.

-Nie, to nie tak. Dostałam znakomite referencje. - Zajmowała się tymi sprawami. W razie potrzeby umiałyby wystawić sobie najgenialniejszą opinię. Choć oczywiście przy zatrudnianiu do dorywczych prac nikt nigdy nie żądał referencji.

-A zatem, kiedy ta Lloyd powiedziała Metcalfe'owi, że nie może nająć się do posługi, zadzwonił i poprosił o to ciebie? - Wyraźnie nie wierzył w to ani przez moment.

-Tak, właśnie tak. - Do diabła, co też wygadawała? Zależało jej, owszem, na pozostaniu w Aldwyn House, ale przecież nie razem z nim. A już w żadnym wypadku nie zamierzała opłacić swojego pobytu pracą dla tego typu!

-Dziękuję. To znaczy... Dziękuję, nie. - Z góry odrzucił propozycję, choć Varnie nie była przekonana, czy w ogóle ją złożyła.

-Bo? - Po co w ogóle wdawała się w dyskusję? Ale Johnny... Teraz on tu się liczy najbardziej. Jesteś jego siostrą, myślała, a to oznacza, że masz osłaniać rodzinę, choćby doprowadzało cię to do szału.

Beaumont milczał. Przypuszczała, że w ogóle nie odpowie, lecz nagle rzucił gwałtownie:

- Bo nie cierpię takich przysług. Zresztą żadnych.

Świetnie! Johnny... Jasny gwint!

- To ty wyświadczysz mi przysługę - zaproponowała prędko, obiecując sobie dłuższą rozmowę z bratem. - Jestem bezrobotna i obecnie nie mam się gdzie podziać. Ubiegam się o pracę w paru miejscach, ale jeszcze nie dostałam odpowiedzi. - Zwiesiła głowę, by nie zauważył w jej oczach kłamstwa.

Beaumont wyglądał, jakby chciał powiedzieć: „Dość tych banialuków”. Och, z jakąż rozkoszą by go stąd wykopała! Czy Johnny'emu rzeczywiście aż tak bardzo zależało na pracy u niego? Czy to była prawda?

- Zamierzasz zatem tu się zakotwiczyć? - zapytał szorstko Beaumont. - Posada służącej... plus zamieszkanie?

Och, walnąć by go w ten głupi łeb!

-Do najbliższego miasteczka jest niedaleko - wyjaśniła, starając się zapanować nad rozdrażnieniem.

-Nie przyjechałaś tu na rowerze. Na podwórzu stoi samochód i...

Dosyć tego. Próbowałam, Johnny, bardzo się starałam, ale...

- I nic tu po mnie! - wybuchła. Nie dalej jak przed kwadransem miała zamiar powiedzieć temu bubkowi, żeby sływał, a co się porobiło? Powiedziała mu, że się wynosi, a wszystko przez ukochanego braciszka. Dostał polecenie i chciał się wykazać - znalazł swemu szefowi kryjówkę.

Varnie westchnęła ciężko i zamierzała już wyjść, gdy raptem dotarło do niej, że Beaumont się zastanawia. Bezrobotna, bezdomna, przybita - tak pewnie tłumaczył sobie jej rozjątrzenie.

- Możesz zostać - odezwał się szorstko. - Zarobisz na utrzymanie. Ale - stawiam warunki.

Łaskawca się znalazł! To mój dom, buntowała się Varnie. Moja własność. Tak, tylko co będzie z Johnnym?

- Z góry przyjmuję wszystkie - odpowiedziała nad wyraz potulnie.

Zapadła cisza. Beaumonta albo w ogóle nie obcho-

dził jej ton, albo zwyczajnie nie uwierzył w tę nagłą zgodliwość. Po chwili dobitnie wypunktował swoje żądania:

- Warunek pierwszy: ani słowa nikomu, że tu jestem. Jeśli ktoś zacznie choćby węszyć, wynosisz się, i to natychmiast. Zrozumiałaś?

Domyśliła się, że chodziło mu o dziennikarzy. Musieli dobrze deptać mu po piętach, skoro w prasie ukazało się takie zdjęcie.

- Nie życzysz sobie, żeby cię... odwiedzano? - zapytała niewinnie. - We wczorajszej gazecie było twoje zdjęcie... Boisz się męża tej kobiety?...

Beaumont wzruszył ramionami, jakby uznał pytanie za absurdalne.

-Nie życzę sobie absolutnie niczyjego towarzystwa poza własnym.

-Damskiego również?

-Nie tyle również, co przede wszystkim! Dlatego stawiam warunek drugi: wara ci od mojej sypialni.

Cham nie z tej ziemi! Cudem udało się jej powstrzymać soczysty komentarz.

-Ścieleniem łóżka i sprzątaniem pokoju zajmujesz się więc sam. Tak mam to rozumieć?

-Szykuj wreszcie śniadanie! - warknął, zgromiwszy ją wzrokiem.

Sam sobie szykuj, pomyślała. Sytuacja świadczyła jed-

nak o tym, że klamka zapadła. Varnie Sutton została zatrudniona we własnym domu jako panna służąca.

- Do usług, sir - odpowiedziała żywo. Dobrze, że Beaumont szybko wyszedł, gdyż czuła, że za moment przestanie być grzeczna i potulna. Zastanowiła się chwilę i powędrowała do spiżarni dziadka. Ciekawe, czy w ogóle coś tara jeszcze było, a jeśli nawet, zapewne nie odpowiadałoby to wydelikacjonemu podniebieniu jego lordowskiej mości. Chyba żeby miał ochotę na mandarynki z puszki i wołową konserwę.

Jej nowy i niechciany pracodawca był tymczasem w saloniku. Stał i patrzył przez okno. Nawet nie drgnął, gdy pojawiła się w progu.

-Będę musiała wybrać się na zakupy - oznajmiła cierpko. Dopiero wtedy odwrócił się i zaszczycił ją ponurym spojrzeniem.

-Przywieź mi gazetę. - Wyjął portfel z kieszeni i wyciągnął w jej stronę kilka banknotów. Ogromnie ją to zmieszalo.

-Nie chcę żadnych pieniędzy! - wybuchła.

-A ja nie życzę sobie darmowych śniadań! - Wcisnął jej w garść pieniądze. - Poproszę o paragony - powiedział zirytowany i wyszedł z pokoju.

Varnie miała poważne wątpliwości, czy zdoła przetrwać ten dzień bez dania Beaumontowi w twarz. W życiu nie spotkała takiego gburą. Gdyby to od niej zależało, mógłby

się zagłodzić na śmierć. Jednakże myśl o kochanym bracie przytłumiła jej złość. Gotowa była na wszystko, byle nie popsuć mu szyków. Mogła wspierać go dobrym słowem, pracą w charakterze służącej - a niech to, oby tylko nie trwało to długo. Miejmy nadzieję... Spojrzała na wciśnięte jej do ręki pieniądze. Tyle forsy... Za taką sumę mogliby się tutaj utrzymać i przez miesiąc.

Zastanów się, kobieto, zganiła się i od razu poczuła się lepiej. Szef dużej firmy nie może wziąć na dłużej wolnego. Zresztą przy najbliższej sposobności postanowiła go zapytać, ile czasu zamierza odpoczywać. Kiedy wychodziła z domu, usłyszała, że rozmawiał przez telefon z gabinetu dziadka. Cwaniak! Choć, szczerze mówiąc, przypuszczała, że rachunek za wynajem obejmuje cały dom, więc Beaumont uznał, że może swobodnie korzystać również z gabinetu.

Varnie zrobiła zakupy wystarczające na tydzień i zaniosiła je do samochodu, myśląc o tym, że dziadkowa zamrażarka bardzo się teraz przyda. Nagle ktoś zawołał ją po imieniu. Jasnowłosa, roześmiany mężczyzna.

-Varnie!

-Russel!

Ucałowali się serdecznie. Zawsze lubiła Russela. Mieszkał z rodzicami półtora kilometra od Aldwyn House. W dzieciństwie przyjaźnił się z Johnnym, spędzili we troje

mnóstwo wspaniałych chwil. Potem obaj wyjechali na studia, ale Johnny odpadł po roku.

Ostatnio widzieli się chyba z pięć lat temu. Było o czym pogadać, więc poszli na kawę. Russel Adams, jak się zaraz dowiedziała, został inżynierem. Pracował na budowach i musiał się często przemieszczać. Mieszkał obecnie w Caernarvon, ale przyjechał na dzień czy dwa zobaczyć się z rodzicami. Wypytywał o Johnniego - czy się ustawił, czy ożenił.

-A gdzie tam! Dalej jest kawalerem. - A co do pracy, pomyślała, to... No cóż, chciałaby wierzyć, że w życiu jej brata nastąpił przełom. Tymczasem musiała mu pomóc. Nie mogła powiedzieć przyjacielowi, że w tym celu została kuchnią jego szefa.

-A co u ciebie? - dopytywał się Russel. - Dalej łamiesz chłopakom serca, czy też może poznałaś kogoś, kto cię wreszcie okiełznał?

Russel oczywiście żartował. Nikomu nigdy nie złamała serca. Była o tym absolutnie przekonana. Jeśli w ogóle w jej życiu był ktoś istotny, to tym kimś okazał się Leon Beaumont, którego powinna jak najszybciej nakarmić. Tylko to ją obchodziło. Nagle uzmysłowiła sobie, że człowiek, którego aż do wczorajszego dnia uważała za kogoś bliskiego, nagle przestał dla niej istnieć.

- Nie mam nikogo - odpowiedziała. - Oj, zagadaliśmy się, a muszę jechać. Fajnie, że się spotkaliśmy...

-Pobędziesz tu trochę?

-Jeszcze nie wiem. - Podniosła się. Naprawdę powinna już wracać. - Mam masę spraw do załatwienia - powiedziała, gdy żegnali się przy samochodzie. Uświadomiła sobie raptem, że być może powinna być wdzięczna losowi za to, że zesłał jej dziwnego lokatora i nie musiała zadrećzać się myślami o Martinie. Poranne zachowanie Beaumonta, jego pewność siebie, wszystko, do czego potem doszło... Co za burak! Spokojnie, tylko spokojnie. Zdecydowała się osłaniać brata, więc musi brnąć dalej.

Zaparkowała z boku domu i zaczęła przenosić sprawunki, postanawiając zachowywać się wobec Beaumonta nieco sympatyczniej. Czemu nie?

Wszedł do kuchni, gdy postawiła na stole pierwsze trzy torby zakupów.

-Grzebuła - powiedział kąśliwie. Poczowała, że zaraz puszcza jej nerwy, i prędko się opamiętała. Uśmiechnęła się.

-Spotkałam kogoś. Byłam na kawie.

- Masz tu znajomych? - Spojrzał na nią ostro.

Korciło ją, żeby powiedzieć prawdę, ale w porę ugryzła się w język.

- Mówiłam przecież, że bywałam w Aldwyn House.

-Z Metcalfeem? - Tak.

-Dobrze go znasz?

O, byłbyś zaskoczony, pomyślała.

-Bardzo dobrze - przyznała.

-Jesteście parą?

-Nie. - Czowała, że zabrzmiało to ostrzej, niżby chciała.

-Sypiasz z nim?

-A czyja pytam, z kim sypiasz? - wybuchła. A niech to! Co za bezczelny typ.

-A więc? Tak?

Przyplłynęło do niej nagle wspomnienie z dzieciństwa. Tamtego dnia na podwórku zjawił się dziki kot. Bardzo się wystraszyła. W nocy obudziła się z płaczem. Johnny, słysząc jej pochlipywanie, wyszedł ze swego pokoiku. Miał wtedy jakieś osiem lat. Przysiadł na jej łóżku, pocieszał ją i tulił, aż w końcu oboje usnęli. Czy mogła go nie kochać? Uśmiechnęła się do wspomnień.

- Tak - przyznała. - Spałam z nim.

-Przespaliście się z sobą parę razy i na tym koniec, tak? - Beaumont mruknął lekceważąco, przyjmując za pewnik, że jego asystent rzucił ją, gdy się mu znudziła.

-Może poprawi ci się humor, gdy coś zjesz - odpowiedziała gniewnie. - Z pustym brzuchem źle się rozmawia.

Rzucił jej zniesmaczone spojrzenie i wyszedł. Varnie rozłożyła zakupy, usmażyła jajka na boczku i podgrzała fasolę. Śniadanie było już prawie gotowe, więc poszła nakryć do stołu w saloniku. Niosła wszystko na tacy, gdy Beaumont wyjrzał z gabinetu.

- Zjem w kuchni.

Zadysponował tak chyba tylko po to, żeby utrudnić jej życie, ale cóż... Skoro życzył sobie jeść w obecności pomocy domowej, to proszę bardzo. Sądziła, że przy posiłku nie zamienią z sobą nawet słowa. Usiedli przy kuchennym stole o porysowanym blacie, na który na szczęście zdążyła narzucić serwetę. Ledwie Varnie ukroiła sobie kawałek boczku, Beaumont zapytał:

- Skąd pochodzisz?

Włożyła boczek do ust i żując, starała się zyskać na czasie. Czy Johnny, obwoząc szefa po kraju, opowiadał mu o rodzinie?

-Z Gloucestershire - zaryzykowała. Jej brat od kilku dobrych lat mieszkał na stałe w Londynie.

-A gdzie poznałaś Metcalfe'a?

-Zatrzymał się w hotelu, w którym pracowałam.

Nienawidziła kłamać. Choć, oczywiście, prawdą było, że Johnny pomieszkiwał w hotelu rodziców. Postanowiła ubiec kolejne pytanie.

- A właśnie... Skoro już mówimy o wynajmowaniu, to chciałabym wiedzieć, jak długo myślisz tu zostać? - Poczula, że się rumieni, i zauważyła, że Beaumont przygląda się jej twarzy i ustom. No i co się tak gapisz? - pomyślała ze złością, gdy wpatrywał się w nią w najlepsze, ignorując pytanie.

- Wyglądasz, jakby coś cię gryzło - stwierdził zaczepnie. - Masz coś na sumieniu?

- Nic - zaprzeczyła gorąco. - Naprawdę, jesteś... - Szukała odpowiedniego słowa. - W życiu nie spotkałam kogoś takiego.

Beaumontowi drgnęły wargi, jakby go rozbawiła, ale się nie uśmiechnął. Prędko oderwała oczy od jego ładnych ust.

-Zadałam najzwyczajniejsze pytanie. - Wzruszyła ramionami. - Lubię wiedzieć, na czym stoję. Gdybym wiedziała, do kiedy tu będziesz, mogłabym na przykład sensownie zaplanować zakupy...

-Jestem na urlopie - wykręcił się gładko.

-Urlop w listopadzie?! W kraju? - zirytowała się. - Dlaczego nie wyjedziesz gdzieś za granicę jak każdy, kogo na to stać?

-Najeździłem się już dość - odparł niechętnie. - A co, masz coś przeciwko temu, żebym spędził tutaj urlop?

- Nie, skądże. - Dusila się ze złości. - Bardzo mi odpowiada, że Johnny... - Błąd! Powinna powiedzieć: John. Za późno. - Że Johnny Metcalfe pomyślał o mnie, szukając zastępstwa za panią Lloyd. Tylko że... Po prostu nie chciałabym go zawieść, jeśli dostałabym gdzieś stały angaż przed... zanim skończy ci się urlop. Oczywiście nie zawiodę Johna. Bardzo prosił, żeby nie zostawiła cię na lodzie... - O matko! Czy aby nie przesadza-

ła z tym podkreśleniem zapobiegliwości swego brata? - Proszę, jest jeszcze boczek. Masz ochotę?

- Mówisz o Johnie z takim uwielbieniem... Zrobiłabyś dla niego chyba wszystko?

Varnie miała naprawdę dość spostrzegawczości Beaumonta.

-Cóż, zawsze uważałam go za człowieka o najwyższych kwalifikacjach. - Zabrzmiało to tak, jakby wystawiała mu referencje.

-Jesteś w nim zakochana?

-Nie! - Naprawdę zapędziła się w pochwałach. - To po prostu wartościowy facet. I bardzo, ale to bardzo go lubię.

-Ale nie kochasz się w nim?

-Powiedziałam, że nie! - wybuchła, patrząc Beaumontowi prosto w oczy. - I wbrew twoim podejrzeniom, że mogłabym ewentualnie mieć też ochotę na ciebie, oświadczam: mężczyźni w ogóle mnie nie obchodzą. A już szczególnie tacy, dla których małżeństwo znaczy tyle co nic.

-Liczyłaś na małżeństwo i ktoś cię wykiwał? - zapytał chłodno, rozsiadając się wygodniej.

Spojrzała na niego z irytacją. Wszystko obracało się przeciwko niej.

- Tak daleko to nie zaszło - odburknęła. - Dowiedziałam się, że jest żonaty.

-I rzuciłaś go w diabły?

- Z miejsca. - Gwałtownie podniosła się od stołu. - Jeśli się już najadłeś, to pozmywam.

Beaumont odniósł swoje naczynia do zlewu, ale najwyraźniej nie zakończył przesłuchania.

- Czy ten facet... ten, z którym byłaś na kawie... to właśnie ten żonkoś, który...

-Nie powiedziałam, że byłam na kawie z mężczyzną. Spojrzał na nią przekornie.

-Mam rozumieć, że z kobietą?

Znowu poczuła się głupia. Nie było jej z tym dobrze. - Zawsze traktujesz swoich podwładnych z taką...

uwagą?

Uśmiechnął się. Naprawdę i szczerze, co całkowicie odmieniło wyraz jego twarzy. Serce zabiło jej żywiej. Pojęła nagle, dlaczego kobiety lgnęły do Beaumonta jak opiłki żelaza do magnesu.

- Nie wszystkich - wycedził. - Ale ty jesteś taka interesująca, że aż mnie korci, żeby...

Świnia! Drwił sobie z niej dla zabawy. Fakt, innych rozrywek tu nie miał, ale nie potrafiła spokojnie myśleć o tym, że bawił się jej kosztem.

- W porządku. Spotkałam kolegę. Nazywa się Russel Adams. Jest inżynierem. Mieszka obecnie gdzie indziej, ale wpadł odwiedzić rodziców. I nie martw się, nie wspomniałam nawet o twoim istnieniu. Coś jeszcze?

Najchętniej rozbiłaby mu talerz na głowie!

posiłków Beaumonta trucizną. Odnosili się do siebie dość bezceremonialnie. Nie zawsze pamiętała, że powinna być miła. Zresztą, kto by to potrafił? Miała wrażenie, że temu bubkowi wciąż się wydaje, że jego „pomoc domowa” tylko marzy o tym, by go poderwać. Dobre sobie!

Był ranek. Varnie usiadła przed lustrem, wyszczotkowała długie, jasne włosy i upięła je elegancko. W lustrze odbijały się jej duże, zielone oczy, zdobiące twarz o ładnych rysach i nieskazitelnej cerze. Popatrzyła na swoje wypielęgnowane ręce. Długie palce, starannie opilowane, polakierowane paznokcie. Cóż, faktycznie. Uczciwie mówiąc, nie wyglądała na „kuchnię”.

Wyszła z pokoju, ciesząc się, że dziadek pomyślał o wstawieniu do gabinetu komputera. O ile wiedziała, w interesach nie był mu potrzebny, ale korzystał z niego dla rozrywki. Całymi godzinami grał w komputerowego brydża czy szachy. Sprzęt bardzo się teraz przydał, gdyż

dzięki niemu miała Beaumonta z głowy. Kiedy wczoraj zaniósła mu kawę do gabinetu, komputer był włączony. Na monitorze zobaczyła liczby i wykresy. Miała nadzieję, że jeśli szczęście jej dopisze, ten pracus spędzi przy monitorze również cały dzisiejszy dzień.

Beaumont, musiała to przyznać, nie był małostkowy. Gdy weszła do kuchni, podał jej filiżankę kawy.

- Dziękuję bardzo - powiedziała. - A w ogóle to dzień dobry.

Wysiliła się chyba niepotrzebnie, gdyż zabrał swoją kawę i wyszedł.

- Dzień dobry - dobiegło do niej zza drzwi i nie wiadomo dlaczego od razu zrobiło się jej weselej.

I tak zaczął się poniedziałek. Beaumont przesiedział większą część dnia w gabinecie i niewiele go widziała. Telefonował dokądś parę razy i odebrał kilka telefonów. Varnie zajęła się czynnościami, jakie zazwyczaj wykonują służące. Sprzątnęła, co należało sprzątnąć, położyła świeże ręczniki pod drzwiami pokoju swego chlebowawcy i ugotowała, co było do ugotowania. Kładła się spać bez poczucia satysfakcji, jaką, zdawałoby się, powinien przynieść pracowity dzień.

W równie kiepskim nastroju powitała kolejny ranek. Schodząc na dół, myślała smętnie, że jedynym powodem, dla którego w ogóle się tu znalazła, była troska o rodziców. Nie chciała ich zmartwić swoim niepowo-

dzeniem. Jednakże nie czuła się wcale tak załamana, jak przewidywała. Odczuwała jedynie niesmak, niechęć do Martina i zdziwienie, że mogła być aż taka naiwna. Skoro zatem nie istniało nic, czym mogłaby zmartwić rodziców, to co u licha tu jeszcze robiła? Raptem dotarło do niej z całą oczywistością, że mogła spokojnie jechać do domu!

Leon był już w kuchni, szykował kawę. Gdy podał jej filiżankę, spytała ostro, nie zastanawiając się nad konsekwencjami:

- Czy poczułbyś się bardzo urażony, gdybym dzisiaj wyjechała?

Spojrzał na nią spokojnie znad blatu z suszarką na naczynia.

- Dzień dobry. - Upił łyk kawy. - Wcale - odpowiedział lekko. - Jesteś absolutnie wolna. Możesz iść, dokąd chcesz.

Powinna pobiec na górę i szybko się spakować, ale nie ruszyła się z miejsca.

-Nie masz nic przeciwko temu? - Wydało się jej, że w tonie jego głosu dosłyszala jakąś niepokojącą nutę. - Na pewno?

-Wyraziłem się chyba zrozumiale - stwierdził krótko. - Gdybyś jednak skontaktowała się ze swym przyjacielem Metcalfe'em wcześniej niż ja, możesz mu powiedzieć, żeby wykreślił angaż u mnie ze swego CV.

Varnie znieruchomiała z otwartymi ustami. A zatem wszystko jasne. Mogła odejść, bardzo proszę, ale wówczas również Johnny żegnał się z pracą.

-Ależ... ależ to szantaż - szepnęła, uzmysławiając sobie, że Beaumont nabrał przekonania, iż za bardzo ceniła jego asystenta, żeby chcieć pozbawić go stanowiska.

-Wycofujesz się? - zadrwił.

-Nic już nie rozumiem. Przecież nie chciałeś nikogo. W sobotę robiłeś wszystko, żeby się mnie pozbyć. - W sobotę... Raptem wydało jej się, że od soboty minęły wieki. Miała zamiar wyrzucić go z domu... Och, gdyby to było możliwe!

- Umiesz nieźle zajmować się gospodarstwem i dobrze dajesz jeść - skomentował bez żenady.

Z najgłębszym zdziwieniem odkrywała, że ma do czynienia z mężczyzną, który przede wszystkim ceni sobie wygodę. Teraz z filiżanką w ręce przeszedł do gabinetu i włączył komputer.

Trutka na szczury byłaby dla niego aż za dobra, myślała Varnie, obiecując sobie, że jeśli kiedykolwiek nadarzy się taka okazja, gołymi rękami wydrapie mu te szare oczy. Buntowała się przez całe przedpołudnie. Nadeszła poczta, a w niej coś do niego. Położyła list na stoliczku w holu. Była sprzątaczką i kucharką, a nie sekretarką. Korespondencja świadczyła o tym, że Beaumont powiadomił kogoś o miejscu swego pobytu. Szef przedsiębior-

stwa nie mógł, ot tak sobie, zniknąć z powierzchni ziemi. W każdym razie nie na całe tygodnie. Niemożliwe, żeby zaplanował wakacje na tak długo. Varnie zastanawiała się od pewnego czasu nad podjęciem pracy i chciała jak najprędzej zakreślić się wokół własnych spraw. Johnny wyjechał na miesiąc. Owszem, to prawda, ale... Beaumont nie mógł chyba pozwolić sobie na tyle wolnego... Do licha, nie zamierzała tkwić tu cały miesiąc. Rodzice spodziewali się *jej* powrotu za niecałe dwa tygodnie. A Johnny... Kryła go zawsze, dziesiątki razy w życiu, ale matka nigdy nie dała się nabrać. Jeśli chodzi o córkę, wychwytywała wszystko niczym najczulsza antena.

Chociaż Varnie wiedziała, że nie umie kłamać, nie miała najmniejszych skrępułów, oszukując Beaumonta. Zresztą nie zasługiwał na nic lepszego. Szantażysta! Babiarcz bez sumienia! Nie przepuściłby żadnej kobiecie... może z wyjątkiem jej jednej; no, ale ona była tylko służącą.

W porze lunchu wyszedł z gabinetu i spostrzegł leżący w holu list. Nie wydawał się zachwycony jego widokiem.

- Długo tu jest?

Varnie spojrzała na niego spod rzęs.

- A to coś ważnego? - rzuciła niefrasobliwie, przechodząc do saloniku. - Kanapki, proszę. Zaraz przyniosę kawę.

Wróciła do kuchni, wiedząc, że postąpiła małostkowo i zachowuje się jak idiotka, ale... sprawiało jej to zdumiewającą przyjemność. Zemsta jest słodka. Kiedy weszła z kawą, Beaumont stał i patrzył przez okno. Postawiła tacę na stole i miała już zapytać, czy nalać mu filiżankę, ale uznała, że nie musi być aż tak grzeczna. Dorosły człowiek może obsłużyć się sam. Raptem usłyszała cicho wypowiedziane przekleństwo. Podniosła wzrok i z ulgą zrozumiała, że nie było skierowane pod jej adresem. Podeszła do okna, spojrzała na martwy o tej porze roku ogród i zobaczyła samochód, który zatrzymał się przed bramą. To ten widok tak rozsierdził Beaumonta. Z auta wysiadła kobieta.

-Przyjaciółka czy interesantka? - spytała Varnie.

-Wredne babsko!

- Ja?

- Przestań! - wybuchnął. - Prosiłem ją grzecznie, że by dała mi spokój. Tłumaczyłem na wszelkie sposoby, że nie jestem nią zainteresowany...

Tymczasem elegancka brunetka otworzyła sobie bramę, zamkniętą od soboty, gdy Varnie wróciła z zakupów, i wjechała na podwórze. Oboje odsunęli się od okna.

-Antonia King! - wykrzyknęła Varnie.

-Znasz ją? - Beaumont z nieukrywaną wściekłością spojrzał jej w twarz. - Ty... To ty jej powiedziałaś, gdzie mnie szukać?

- Jest bardzo fotogeniczna, nie uważasz? - Varnie aż wrzała ze złości. - A widziałam ją tylko raz, a właściwie jej zdjęcie, to w gazecie. Może przyjechała cię poprosić, żebyś przestał bić jej męża.

Beaumont skomentował to ponurym spojrzeniem.

-Szląg by was wszystkich trafił! Ciebie, ją i jego. Rzygać mi się chce. Idź i powiedz, że ma się wynosić.

-Nagle awansowałam ze stanowiska kuchty do roli osobistej sekretarki waszej wysokości? - zirytowała się Varnie. - Sam jej to powiedz!

-W porządku! - zagrzemiał. - Już się robi. Nie ma jej tutaj. Wynocha! - Podszedł szybko do drzwi.

-Chwila, moment - zawołała Varnie, przypominając sobie komentarz z gazety. - Ona u ciebie pracuje, tak?

-Pracowała. Zwalniam ją.

-Poczekaj. Nie rób tego. - Popatrzył na nią krańcowo zniecierpliwiony, więc dodała prędko: - Ta King musi być dobrym fachowcem, inaczej nie zajmowałaby w twojej firmie tak wysokiego stanowiska.

-Nie awansowałaby, gdyby się nie nadawała - przyznał zimno, lecz ponosił go gniew. - Ale dosyć tego dobrego! To się musi zakończyć, już, w tej sekundzie. To jakiś krwawy nonsens. Nic od niej nie chciałem. Pomogłem jej trochę, zrobiłem wokół niej dobrą atmosferę, pogadałem z tym i owym z zarządu. Chciałem, żeby poczuła się pewniej; na początku nikomu nie jest łatwo.

A ta głupia uroiła sobie, że jest w tym coś osobistego. Dosyć mam tych narzucających się bab! Zwalniam ją! - Nacisnął kławkę.

- Zaczekaj! - Varnie miała swoje zdanie na temat tej sprawy. Kobieta nie zakochuje się w swoim szefie z wdzięczności za dobrą opinię. Łaskawca się znalazł!

- Ja to załatwię. Powiem, żeby wyjechała. Żeby dała ci spokój.

Beaumont spojrzał na nią podejrzliwie.

-Przed sekundą byłeś zdania, że sam powinienem wypić piwo, którego nawarzyłem.

-Przed sekundą nie wiedziałam, że zamierzasz zwolnić panią King z pracy. I wiesz co? Powiem ci wprost: ta kobieta ma około trzydziestki. Zawodowo jest więc czynna już kilka dobrych lat. Wiem, co to znaczy zostać bez pracy. Ja na przykład nie chciałabym zostać zwolniona wyłącznie dlatego, że pociąga mnie mój szef.

Leon prychnął wzgardliwie.

- Pociągają, owszem, ale głównie stan mojego konta.

Antonia King pukała już do drzwi. Pewnie przedtem próbowała dzwonić, pomyślała Varnie, ale dzwonek nie działał. Dziadek odłączył go od sieci, ponieważ nie lubił być gwałtownie odrywany od komputerowych szachów czy brydżyka...

- Dosyć tych bab. Mam ich potąd. - Leon złapał się za gardło. - Wracam do roboty.

Varnie triumfowała. Hura! Uratowała przedstawicielkę swojej płci przed bezrobociem.

-Co mam powiedzieć pani King?

-Co tylko chcesz, byle zrozumiała, że jeśli będzie mi zawracać głowę czymś, co nie ma związku z pracą, zwolnię ją bez pardonu. - Wyszedł i chwilę potem trzasnęły drzwi gabinetu.

Słyszając coraz bardziej natarczywe pukanie, Varnie podbiegła do drzwi wejściowych i uchyliła je. Antonia King zmierzyła ją lodowatym wzrokiem.

-Czy to Aldwyn House? - rzuciła wyniośle.

-Owszem. Czym mogę służyć?

-Chcę się widzieć z Leonem Beaumontem. - Zachowywała się tak obcesowo i lekceważąco, że Varnie najchętniej by jej przygadała, lecz odpowiedziała spokojnie:

-Niestety, w tej chwili nie przyjmuje nikogo. Przekażę wiadomość, jeśli pani sobie życzy.

-Poczekam - odpowiedziała stanowczo, stawiając nogę na progu.

O, nieładnie, pomyślała Varnie. Miała serdecznie dość ludzi traktujących jej dom jak swoją własność.

- Bardzo przepraszam, ale nie jest to możliwe - za oponowała chłodno, tarasując wejście. Gdyby ta King zachowała się grzeczniej, mogłaby ją ewentualnie po prosić do środka i zaproponować odpoczynek po podróży, ale nie w zaistniałej sytuacji.

-Kim pani jest? - rzuciła cierpko Antonia. - Mieszkam tutaj.

-Z Leonem?!

W pierwszej chwili Varnie chciała zaprzeczyć, gdyż pytanie miało wyraźny i oczywisty podtekst, ale nagle uświadomiła sobie, że w cudzych oczach tak to mogło wyglądać. Mieszkała z Leonem Beaumontem, chociaż nie żyła z nim, a przecież to miała na myśli ta arogantka. Nadarzała się niesłychana okazja, żeby odplacić za wszystko temu żalonnemu Casanovie, któremu ponoć przejadły się panienki.

Varnie zerknęła na wymuskaną brunetkę. Ani śladu zmieszania. Zero delikatności. A to babsko! Ma męża, a ugania się za Beaumontem.

-Tak, rzeczywiście mieszkamy z sobą. Leon wolałby jednak, żeby pozostało to naszą prywatną sprawą. Nie życzy sobie rozgłosu - powiedziała, myśląc, że kiedy powtórzy mu tę rozmowę, Beaumont dostanie chyba szału.

-Jesteś jego... metresą? - Na twarzy Antonii King odmalował się szok.

-Powiedziałabym raczej „partnerką”. Metresa to takie staromodne określenie. W dzisiejszych czasach ma nieprzyjemny wydźwięk. Zgodzi się pani ze mną?... Ale naprawdę nie chcę rozmawiać o osobistych sprawach. A Leon... jest w tej chwili bardzo zajęty. Jeśli...

-Jesteście kochankami? Tak mam to rozumieć? Leon i ty...
 -Wybacz pani. Nie wiem nawet, z kim mam przyjemność i naprawdę nie mogę...
 -Chcę się z nim widzieć!
 Do czorta, co za pijawka! Kto inny dawno by się zmył. Obrzydliwy babsztyl!
 -Przekażę, że pani była. Przepraszam, jak pani nazwisko?
 -Leon cię kocha?

Czysta rozpacz, pomyślała Varnie. Facet poderżnie mi gardło, kiedy się dowie, co nagadałam.

- Naprawdę nie wiem, czemu pani zmusza mnie do takich wyznań, ale... no cóż, tak, kocha. Mówi, że do szaleństwa.... - Poczula nagle, że chyba oszaleje, jeśli powie choćby jeszcze jedno zdanie w tym stylu. - Przepraszam, skończmy już tę rozmowę. Co mam przekazać Leonowi?

Antonia King spojrzała na nią z nienawiścią i bez słowa wróciła do samochodu. Usiadła za kierownicą i błyskawicznie wyjechała z posesji. Tak ją gnało, że nie zadała sobie nawet trudu, by zatrzymać się i zamknąć za sobą bramę. Varnie obserwowała tę scenę ze ściśniętym gardłem i nagle zabrakło jej powietrza. Przeszła aleją do bramy, zamknęła ją, i nagle poczuła przyniatającą świadomość tego, co zrobiła. Wróciła do domu z cięż-

kim sercem, postanawiając jak najszybciej stawić czoło niewesołej sytuacji. Powie Beaumontowi, że pozbyła się jego prześladowczyni. Tak, tylko jakim kosztem... Leon wpadnie w szał, słysząc te wszystkie bzdury.

Drzwi gabinetu były zamknięte. Varnie zastanawiała się, czy w ogóle powiedzieć całą prawdę, a jeżeli tak, to kiedy. Może lepiej zająć się najpierw czymś w kuchni, przyszykować Leonowi kolację... Nie tchórz, nakazała sobie. Przecież cię nie zabije. Weszła do saloniku i wzięła talerz z nietkniętymi kanapkami. Dobrze, że nakryła je serwetką, gdyż przez ten czas zdążyłyby wyschnąć... Kawa... Powinna zrobić kawę. Nie, nie, to może poczekać. Miała już zapukać do gabinetu, jak zawsze, gdy wchodziła do Leona, lecz raptem ogarnęła ją irytacja. Do licha! Była w swoim domu. To Beaumont był tu intruzem, nie ona! To, co zrobiła, wydało jej się nagle świetnym żartem. Wielka mi sprawa! Weszła do gabinetu bez pukania. Leon wydawał się bez reszty pochłonięty pracą.

-Pomyślałam, że zgłodniałeś - skłamała, stawiając talerz z kanapkami na biurku. - Zaparzę kawę. - Nie odpowiedział, odwróciła się więc na pięcie, ale nagle poczuła, że nie powinna odkładać tej rozmowy na później. - Twój gość wyjechał - powiedziała i dopiero tym przykuła jego uwagę. - Myślę, że... nie będzie cię już więcej nachodzić.

-Trudno mi w to uwierzyć - westchnął. - Próbowałem to osiągnąć wszelkimi sposobami...

-A jednak znalazł się sposób, tylko nie pomyślałeś, żeby z niego skorzystać.

- Uśmiechnęła się słodko.

-Nie jestem widać taki genialny jak ty

Osiół! Kpił sobie z niej, nic nowego. Niespiesznie podeszła do drzwi.

- Chyba nie zamierzasz pozostawić mnie w nieświadomości. .. No, pochwal się.

Varnie spojrzała mu prosto w twarz. Z dziką radością odczuła, że panuje nad sobą i jest w stanie powiedzieć prawdę.

-Pani King tak nachalnie napierała, by cię zobaczyć, że powiedziałam jej, że ty i ja jesteśmy... partnerami.

-Kim? - Wyglądał, jakby się przesłyszał.

-Kochankami. Że mieszkamy z sobą i jesteś we mnie zakochany do szaleństwa.

-Co takiego?!

Fantastycznie, pomyślała. Warto było żyć, żeby to zobaczyć.

- Wiedziała, że się ucieszysz.

Nie cofnęła się nawet o krok, chociaż Beaumont zerwał się z fotela i przyskoczył do niej z furją.

-Dlaczego mi to zrobiłaś?

-Co takiego?

-Mówiłem ci, że mam dosyć wszystkich bab!

-Wiem, wiem. Po dziurki w nosie.

-Ciebie to też dotyczy. Jeśli choć przez sekundę wy-

dawało ci się, że rozgłaszając te bzdury, cokolwiek osiągniesz, to możesz...

- Ty wstrętny, przebrzydły głupku! Nie zainteresowałabym się tobą, nawet gdybyś był jedynym żywym mężczyzną na ziemi. Jesteś zwykłą... - Umilkła. Oboje, zdaje się, mieli swoje własne powody do niechęci wobec osób przeciwnej płci. - Skoro nie chciałeś, żeby ta King cię odnalazła, to na diabła podałeś jej ten adres?!

- Nie podałem. - Pohamował się na moment. - Wczoraj była u mojej asystentki. Na biurku Evelyn leżała zaadresowana koperta. Antonia to zauważyła, no i dalszy ciąg znasz...

- Oto co znaczy mieć powodzenie! - rzuciła sarkastycznie Varnie. - Uporządkuj wreszcie swoje życie osobiste. Jeśli ta damulka znowu tu przyjedzie, z największą przyjemnością powiem jej, że jesteś wolny i że tylko na nią czekasz.

Jak burza wypadła z gabinetu. Wyjeżdżam, pomyślała. Mam dość tego gbura. Jak śmie mnie oskarżać o wykorzystywanie sytuacji? Może jeszcze uroił sobie, że lecę na jego pieniądze? Pobiegła na górę, żeby się spakować. Cała się trzęsła! I to dlaczego? Z powodu jednej rozmowy? Żaden mężczyzna nigdy nie doprowadził jej do takiego stanu. Nawet ten oszust Walker.

Ściągnęła walizkę z półki i zapakowała do połowy, gdy znów naszły ją myśli o Johnnym. Do licha! Wyje-

chać byłoby najprościej, ale... Jaki los czeka wtedy jej brata? Opadła ciężko na fotel, lecz nie usiadła długo. Roznosiło ją. Zbiegła na dół i znów bez pukania wpadła do gabinetu.

-Mam wyjechać, tak? Beaumont wzruszył ramionami.

-Rób, jak uważasz.

Dobrze! Nie, wcale nie jest dobrze.

-A jeśli wyjadę, to co będzie z Johnn'em?

-Dziwię się, że w ogóle pytasz. - Uśmiechnął się zjadliwie.

A to świnią. Gnida! Przez moment patrzyli sobie w oczy, ona z furją, a on - co już naprawdę nią wstrząsnęło - z lekkim rozbawieniem.

-W porządku - warknęła, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, i odwróciła się na pięcie, gdy raptem usłyszała:

-A kawa? Miałaś przynieść mi kawę. Zapomniałaś? - Wypowiedział to tak aksamitnym tonem, że najchętniej rzuciłaby się na niego z pięściami. Zabije tego drania! Mieszkali na uboczu. Zgniłby, zanim ktokolwiek odnalazłby zwłoki. Piękna myśl!

Rozwścieczona wbiegła do kuchni, ale nie po to, by zrobić kawę. Jeszcze czego! Powiedział: „Dziwię się, że w ogóle pytasz”. Jasna sprawa. Gdyby odeszła, Johnny byłby spalony. Miotła się, trzaskając garnkami, gdy zadzwonił telefon. Spojrzała na aparat, ale ani

jej się śniło odebrać. To do jego lordowskiej mości. Pewnie dzwoni ta King. Ależ mu nagada! No i dobrze. I pomyśleć, że naprawdę próbowała uchronić go przed tą pijawką. Niech więc mu teraz zwiędną uszy. Dobrze mu tak!

-Telefon do ciebie. - Beaumont wszedł do kuchni.

-Kto mówi?

-A komu powiedziałaś, że tu jesteś?

O matko! Wytarła ręce w ściereczkę i podeszła do aparatu, dając Leonowi spojrzeniem do zrozumienia, że chce być sama, ale nawet się nie poruszył. Podniosła słuchawkę.

-Varnie? To ty? Ktoś odebrał, ale...

-A kto mówi?

-Russel. Russel Adams.

-Och - odetchnęła z ulgą. - Cześć, miło cię słyszeć. Co słychać w Caernarvon?

-Jestem z powrotem u rodziców. Zapomniałem zabrać przybory do golenia. I bardzo dobrze. Mam okazję zaprosić cię na kolację. Znajdziesz czas?... Oj, Varnie - zażartował, gdy przez moment nie odpowiadała - nie umartwiaj się. Dziadek się nie obrazi, jeśli poświęcisz trochę czasu komuś młodszemu... A ten facet, który odebrał telefon, to kto? Twój ukochany?

-Daj spokój, skądże. Przyjaciół Johnny'ego. Przejeżdżał tędy i wpadł na kawę. - Nagle zrobiło jej się gorąco.

Po co w ogóle wypowiedziała imię brata. Diabli nadali! - Dobra, gdzie się spotkamy?

-Podjadę po ciebie. Powiedzmy o...

-Przyjadę moim samochodem - ucieła. Nie sądziła, żeby Beaumont odniósł się wyrozumiale do odwiedzin jej przyjaciół. Chociaż... po najściu przez Antonię King było mu już chyba obojętne, kto jeszcze wiedział, gdzie spędza wakacje. Zresztą - co to za wakacje, kiedy się pracuje od rana do nocy.

Umówili się z Russelem na parking przed hotelową restauracją o wpół do ósmej i Varnie z ulgą zakończyła rozmowę.

Leon, co trochę ją zdziwiło, napelnił czajnik i postawił go na płycie. Jasne, chciało mu się pić i jeść, ale nie zamierzała mu usłużyć.

-Skoro już jestem tym „przyjacielem Johnny'ego” to może mógłbym napić się chociaż herbaty - powiedział spokojnie.

-Wolałbyś, żebym powiedziała Russelowi, kim jesteś i co tu robisz? Nie sądzę.

-I dlatego uznałaś, że lepiej, żeby po ciebie nie przyjeżdżał?

-To też. Poza tym nie chciałam, żeby wyszło na jaw, że jestem szantażowana i muszę usługiwać jakiemuś zrzędzie.

-Bezczelna cwaniara! W życiu takiej nie spotkałem.

-Dziękuję - odpowiedziała i nagle odechciało się jej wszystkiego. Była gotowa się poświęcić, zrobić bardzo wiele z miłości do brata, ale nie godziła się na pomiatanie sobą. - Herbata czy kawa? - zapytała martwo.

-Herbata. Mówiłaś, że masz uraz do mężczyzn. I co? Odmieniło ci się?

-Mówisz o Russelu? To mój przyjaciel.

-Co za różnica.

-Nie ma w twoim otoczeniu kobiet, z którymi łączy cię po prostu przyjaźń? - Spojrzała na nienawistnego jej mężczyznę... mężczyznę w każdym calu. Nie potrzebowała odpowiedzi. - Nie, Ty tego nie znasz. Zresztą, nieważne. - Zaśmiał się i jego oczy nabrały takiego blasku, że odwróciła wzrok. - Zostawię ci zapiekankę... Poradzisz sobie?

- Na pewno. Będiesz w domu przed północą, tak?

Popatrzyła na niego osłupiała. Chyba nie żądał od niej, żeby wróciła, nim zegar wybije dwunastą!

- Obym tylko nie zapomniła włożyć szklanych pantofelków - rzuciła na koniec.

Dopiero w pokoju dotarło do niej, jak się zachowała. Co ją napadło? Na litość boską, nawykła przecież do obcowania z trudnymi ludźmi. Nie da się pracować w hotelu z nastawieniem, że każdy gość będzie miłutki. To prawda, że jego wysokość Leon Beaumont nie był ani łatwy, ani miły, ale dlaczego szła z nim wciąż na ud-

ry? Chwileczkę. Zgodziła się być jego gosposią. Właściwie - narzuciła mu się z tą rolą z wiadomych przyczyn. Więc o co szło? Jeśli był ktoś, komu naprawdę należało się manto, to tym kimś był jej brat. Już my sobie pogadamy, braciszku drogi, pomyślała ze złością, choć z góry przewidywała, jak się to skończy. Jak zawsze mu wybaczy i wszystko będzie po staremu.

Wzięła prysznic, włożyła eleganckie spodnie i jasno-żółtą, twarzową bluzkę i przyrzekła sobie dołożyć wszelkich starań, by zachowywać się wobec Beaumonta naturalnie i uprzejmie - tak jak zawsze zachowywała się wobec hotelowych gości. Postanowiła być miłsza.

Przed wyjściem na spotkanie z Russelem zeszła jeszcze do kuchni i zajrzała do piekarnika. Zapiekanka wyglądała ładnie i powinna okazać się smaczna. W saloniku był porządek. Nakryła do stołu, coś tam uprzątnęła i weszła na górę poprawić makijaż. Wzięła torbę na ramię, wygładziła żakiet. Z łazienki Leona do niedawna dobiegał szum wody. Teraz pompa już nie pracowała. Varnie odczekała jeszcze chwilę. Leon już się na pewno ubrał. Zapukała. Otworzył prawie od razu, zapinając przód koszuli.

- Nie niepokój się - powiedziała z biciem serca, dziwnie schrypniętym głosem.
- Już sobie idę, tyle że... - Na moment zapomniała, po co w ogóle przyszła. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że zapiekanka będzie gotowa

o wpół do ósmej, ale nic się nie stanie, jeśli zechcesz ją zjeść trochę później.

-Dziękuję - odpowiedział łagodnie. Miała wrażenie, że podobnie jak ona niedawno, Leon również udzielił sobie lekcji na temat uprzejmości.

-Zostało też z wczoraj trochę sernika na deser. I herbatniki. ..

-Jestem pewien, że nie zgłodnieję. Poczuła się okropnie, jak nigdy w życiu.

-Twoja sprawa. - Odeszła od drzwi łazienki.

-Miłego wieczoru! - zawołał za nią.

Parę minut później siedziała za kierownicą. Wreszcie wolny wieczór! Przyjemnie będzie pobyc trochę w towarzystwie Russela, mówiła sobie, ale przez całą drogę nie poświęciła mu ani jednej myśli. Zaiśniał dla niej, dopiero gdy wjechała na hotelowy parking i spostrzegła, że już czeka. Jechała zaślepiona obrazami mężczyzny, którego pozostawiła w Aldwyn House. Prawdę mówiąc, Leon Beaumont panował w jej myślach bezustannie i niepodzielnie. Głupia sprawa.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rano nie chciało jej się wstać. Obudziła się o zwykłej porze, ale zamiast od razu się podnieść i zacząć dzień od prysznica, leżała, rozpamiętując wydarzenia z wieczoru. Kolacja z Russelem przebiegła szybko i zwyczajnie. Rozmawiało się im łatwo i kiedy zeszło znów na sprawy sercowe, opowiedziała mu o Martinie.

- Rozumiesz więc, że chwilowo mam z mężczyznami na pieńku. Nie mówię, oczywiście, o tobie. - Uśmiechnęła się. Czowała podświadomie, że Russel myśli to samo, co ona - że są przyjaciółmi i nikim więcej dla siebie nawzajem nie będą. Miała też wrażenie, że nie odżałował jeszcze rozstania z dziewczyną, z którą kiedyś zamierzał się żenić.

Gawędzili z przyjemnością, po kolacji wypili kawę, ale o wpół do jedenastej byli już na parkingu. Żegnając się, Russel powiedział, że w najbliższych tygodniach będzie na budowie na północy Anglii, ale po powrocie zadzwoni do Aldwyn House i może ją jeszcze zastanie.

- Kto wie - uśmiechnęła się lekko. Podziękowali

sobie za miły wieczór, ucałowali z dubeltówki, Varnie wsiadła do samochodu, a Russel pomachał jej na do widzenia.

Kiedy podjechała pod dom, lampa nad głównym wejściem była zapalona. Przyjemnie zaskoczona, Varnie z uśmiechem zaparkowała na podwórzu i uszczęśliwiona weszła do domu. Jej chwilowy pracodawca jeszcze nie udał się na spoczynek. Przy jego trybie życia jedenasta w nocy była wczesną porą. W saloniku paliło się światło. Otworzyła drzwi. Beaumont czytał. Podniósł wzrok znad książki i zauważył, że się uśmiecha.

- Wygląda na to, że jesteś w dobrym nastroju.

Varnie się zjeżyła. Już miała, jak zwykle, odburknąć coś zaczepnego, ale ze zdziwieniem poczuła, że wcale nie ma ochoty z nim walczyć.

-Wiesz, jak to jest... - Uśmiechnęła się. - Dobre jedzenie, dobre wino, dobre...

-Dobre towarzystwo?

Nie wytrzymała i wybuchła śmiechem. Mogli mieszkać pod jednym dachem, ale w żadnym wypadku nie dałoby się powiedzieć, że lubią swoje towarzystwo.

-Nie obraż się, ale...

-Nic z tych rzeczy - odparł łagodnie, przenosząc wzrok z jej roześmianych ust na rozpromienione oczy. - Nie podchmieliłaś sobie za bardzo, mam nadzieję?

- Znając tutejsze kręte drogi? - Prawie się uśmiechnął,

a jej serce wykonało zupełnie kretyński podskok. - Czy... czy mam coś zrobić? Będę ci w czymś potrzebna?

- Nie, nie. Dziękuję... Dobranoc, Varnie - rzucił za nią cicho, gdy podeszła do drzwi, gnana niezrozumiałą potrzebą wymknięcia się z pola jego widzenia.

- Dobranoc... Leonie - wybąkała i prędko wyszła.

Nie usnęła od razu. Leżała długo, rozmyślając nie o przyjacielu, z którym spędziła wieczór, a o nim, o mężczyźnie, który zapalił dla niej światło nad gankiem. Co za brednie, zakpiła z siebie, wyskakując z łóżka. Rozluźniła się pod prysznicem, ale nie umiała powiedzieć, co wydało jej się raptem tak nonsensowne. Śmieszne! Jeszcze dziwniejsze było to, że - nie do wiary! - na myśl o porannej rozmowie z Beaumontem czuła onieśmienie. Doprawdy, to jakaś bzdura. Nie była z natury nieśmiała. Działo się z nią coś dziwnego. Tak czy owak, mogła przezwyciężyć to głupie onieśmienie tylko w jeden sposób - a mianowicie zachowując się naturalnie i swobodnie, tak jak Leon, gdy powitał ją w saloniku.

Jak zwykle był w kuchni pierwszy. Nalał jej filiżankę kawy.

-Zaraz zrobię śniadanie - powiedziała, przytłoczona jego obecnością. Kuchnia była duża, a mimo to Varnie miała wrażenie, że jest im z sobą za ciasno.

-Zastanawiam się, czy nie wypijaś wczoraj za dużo. W każdym razie wyglądasz, jakby męczył cię kac.

Miała wielką ochotę zapytać, czy przypadkiem sobie wczoraj nie podlał, gdyż mówił, jakby sam był na kacu. Ale, być może, działo się tak z jej winy. Zapanowała więc nad niechęcią i zajęła się przysmażaniem boczku.

I tak zaczął się ten ranek, a podobnie przebiegł cały tydzień. Nie pojmowała, dlaczego, ale po prostu nie umiała zachowywać się w towarzystwie Beaumonta naturalnie. Zresztą - prawie przestał się odzywać.

Nadszedł piątek. Varnie miała nadzieję, że Leon wyjedzie do Londynu - na weekend, a może i na dobre się wyniesie. Nie wyjechał. Przyszła sobota. I nic. Korciło ją, żeby spytać, jak długo jeszcze zamierza tu tkwić, ale z góry wiedziała, że nie ma co liczyć na jasną odpowiedź. Ugotowała, posprzątała i wyszła na zakupy. W niedzielę postanowiła zrobić jaki taki porządek w ogrodzie. Było co prawda mokro, ale włożyła gruby sweter i zabrała się do grabienia. Szybko poprawił się jej nastrój. Godzinę później, gdy Leon wyszedł na dwór, piętrzyła się przed nią cała góra zgrabionych liści.

- Przeszkadza ci hałas? - Uzmysłowała sobie, że szczękanie grabi o kamienie mogło zakłócić jego spokój.

Zignorował pytanie i spojrzał na liście.

- Ta kupa nigdy się nie spali.

Zrzęda! Varnie wiedziała dobrze, że ze zbutwiałych liści nie będzie ogniska, więc uśmiechnęła się kpiąco.

- A o kompoście nie słyszałeś? Mieszczuch!

Popatrzył na nią ciężko, ale jakby mu ulżyło.

- Znowu jesteś sobą. Dogadujesz mi.

- Ja?

-Tak, ty. Ale wolę już, jak czepiasz się o byle co, niż kiedy cedzisz słówka.

-Ja cedzę słówka! To chyba ty nabrałeś wody w usta. A w ogóle... myślałby kto, że...

Drgnęły mu usta, ale nie pozwolił sobie na uśmiech.

- Daj mi te grabie - sarknął. - Idź, zaparz kawę.

Spojrzała na niego z bijącym sercem, pojmując nagle, że w jej życiu dokonuje się przemiana, że zdarzyło się coś jak z bajki - nieoczekiwanego i... niezamierzonego.

- Zrób to jak należy! - Jak na skrzydłach wbiegła do domu.

Dopiero w kuchni odzyskała zdolność logicznego myślenia. Przemiana? Bajka? O matko! Co za absurd! Co ja sobie roję? Nie stało się nic, zupełnie nic. Beaumont raptem zagustował w urokach gospodarowania. Póki nie odechce mu się tych wywczasów, była skazana na jego towarzystwo. Buntowała się chwilę, ale musiała przyznać, że tak czy owak jest jej o wiele lżej na duszy. Zaparzyła kawę i wyszła na dwór. Po raz pierwszy od wtorkowego wieczoru na jej ustach zagościł uśmiech. Czy to możliwe, że Leon wolał jej uszczypliwości od milczenia? Obchodząc dom z boku, obserwowała go uszczęśliwiona. W porządnym butach, spodniach, ko-

szuli i w jasnym swetrze grabił ogród aż miło. Zajęcie to najwyraźniej sprawiało mu przyjemność.

-Robiłeś już takie rzeczy, kłamczuchu! - zawołała, gdy zerknął na nią przez ramię.

-Odrobina gimnastyki nikomu nie zaszkodzi - skrzywił się i nagle go pożałowała. Przez cały tydzień tkwił bez ruchu przy biurku.

-Wypijesz kawę w domu czy tutaj? Jeśli chcesz, przyniosę... - Zawiesiła głos, słysząc, że przed bramą zatrzymuje się samochód. Oboje spojrzeli w tym kierunku. Kierowca już wysiadał. Znam go? - zastanowiła się Varnie. Tak, na pewno go gdzieś widziała, tylko gdzie? O, do diaska! O ile jej mogło się jedynie wydawać, że skądś pamięta tego mężczyznę, to Leon go znał - i to bardzo dobrze. Z wściekłością odrzucił grabie i ruszył w stronę ogrodzenia. Matko jedyna! To Neville King! Przed oczyma zatańczyła jej scena ze zdjęcia w gazecie. Sądząc z rozjuszenia Leona, ten facet mógł dzisiaj znów nieźle oberwać.

-Dostałeś ten adres od żony, tak? - Nie bawiąc się w przywitania, Beaumont sięgnął do rygla, lecz zanim zdążył go odciągnąć, Varnie przyduśiła jego rękę. W żadnym wypadku nie mogła dopuścić do burdy, a może i rozlewu krwi.

-Pan Neville King, prawda? - zwróciła się przyjaźnie do przybysza, choć Leon aż rwał się do bójki. - Mie-

liśmy właśnie pić kawę. Zechce nam pan towarzyszyć? Zapraszam.

King pokręcił głową.

-Nie, nie. Dziękuję - odpowiedział kulturalnie. Spojrzała mu w twarz i zrozumiała, że jest potwornie rozbity i udęczony, i to na pewno nie z powodu długiej jazdy z Londynu. Albo bardzo kochał żonę, albo po prostu tak mu zależało na rozprawieniu się z Beaumontem, że nie zawahał się przyjechać aż do Walii. - Toni powiedziała mi wczoraj, że była tu we wtorek - zwrócił się bezpośrednio do Leona.

-No i? - zadrwił buńczucznie Leon.

-Mówiła, że mieszkasz tutaj ze swoją ukochaną. Chcę wiedzieć, czy to prawda.

-Żona nie wstąpiła do nas nawet na kawę - wtrąciła prędko Varnie. - Zatrzymała się przejazdem, dosłownie na chwileczkę... Tak się złożyło, że Leon pracował i nie mógł się z nikim widzieć, a ja... zdążyłam jej tylko powiedzieć parę słów... O nas - dokończyła nieśmiało. Zabrzmiało to miękko, owszem, lecz w głębi duszy Varnie toczyła z sobą prawdziwy bój.

-A zatem... pani i on... jesteście kochankami? - Ledwie panował nad sobą. Nie zadaje się takich pytań, pomyślała Varnie, lecz wystarczyło popatrzeć w zrozpaczone oczy Kinga, by wybaczyć mu nietakt. Nigdy w życiu nie widziała kogoś tak udęczonego.

-To... - Beaumont szarpnął się, lecz Varnie natychmiast go powstrzymała.

-Rzecz w tym, że uważamy tę sprawę za bardzo osobistą. Ale niech będzie... - Rzuciła Leonowi słodki uśmiech. - Wyznam, że... no cóż, nie czuję się obco w sypialni tego pana.

Beaumont gwałtownie wbił w nią wzrok. Nie musiała na niego patrzeć, by wiedzieć, że wpatruje się w nią, jakby wyrosły jej rogi.

-Od dawna to trwa? - zachłysnął się Neville.

-Burak! - warknął Leon, lecz Varnie w pełni rozumiała Kinga.

-Już dosyć długo. - Dziadku drogi, pomyślała. Miałaś takie wspaniałe poczucie humoru, pewnie i teraz zaśmiewasz się gdzieś w raj. Na pewno mi wybaczysz. - Ostatnio w mojej rodzinie mieliśmy żałobę - wyrzuciła z siebie. - Z tego względu Leon i ja... Nie wypadało nam, pan rozumie. Postanowiliśmy odłożyć ogłoszenie zaręczyn na później.

-Jesteście zaręczeni? - King zwracał się już wyłącznie do niej. - Naprawdę?

O matko! Beaumont mnie zabije, pomyślała przerażona.

- Oficjalnie jeszcze nie. Jak powiedziałam, nie wypadało... Ale, owszem, zaręczyliśmy się. - Rozpromieniona, odważyła się spojrzeć na kompletnie oszołomionego

Leona. - Ukląkłeś przede mną, kochany. No, przyznaj się... - Nie mogąc znieść strasznego błysku w jego oczach, przeniosła wzrok na czoło, pod którym paliła się pewnie żądza mordy. - A ja - dokończyła prosto - przyjąłam oświadczenia.

-Dosyć tego! - syknął Leon. Wyglądał, jakby miał wyzionąć ducha, ale Neville rozprężył się i nie próbował się odciąć, nawet gdy usłyszał: - Masz jeszcze coś do powiedzenia, to mów, byle szybko, i zabieraj się stąd.

-Wiem już wszystko, co chciałem wiedzieć. - Wsiadł do samochodu jak pijany, uśmiechnął się, oczywiście do Varnie, i odjechał. Varnie natomiast nie wiedziała, co robić. Umknąć biegiem prosto do domu, czy też zwyczajnie przejść aleją.

-Kawa wystygnie - powiedziała napiętym tonem. Leon nie odezwał się ani słowem. - O Boże! Ale ziąb! - Żadnej reakcji - Wiesz, pójdę chyba do siebie.

Przyspieszyła kroku. Nie wierzyła, że mógłby jej odpuścić, i obawiała się konfrontacji. Pamiętała, jak się wściekł, gdy opowiedziała mu o rozmowie z Antonią. Oskarżył ją nawet o babski spisek, o wykorzystywanie sytuacji, o to, że dla własnych korzyści rozgłasza bzdury. Ratunku! Teraz to już wpadła po uszy. Zrobiło się jej gorąco i kiedy tylko znalazła się w swoim pokoju, ściągnęła gruby sweter i nerwowo przeczesła palcami włosy. Obciągnęła koszulkę. Nagle na schodach zadudniły

kroki. Matko! To on! Chyba nawet nie wypił kawy. Nasłuchiwała bez ruchu. Może Leon przejdzie obok, może ominie jej pokój.

Niestety, Kroki ucichły pod drzwiami. Jak zahipnotyzowana patrzyła na klamkę. Przełknęła ślinę. O nie! Nie miała zamiaru stać potulnie, cierpieć jak Neville King, gdy dostał w twarz... Beaumont otworzył drzwi, wrogi, gotowy dać jej wycisk.

-A może byś tak zapukał? - zaatakowała pierwsza.

-Do narzeczonej? A po co? - Jak podejrzewała, nie zrozumiał jej zachowania. Może jeśli mu wytłumaczy... Próżne nadzieje! - Skoro ty masz rzekomo prawo bywać, kiedy chcesz, w mojej sypialni, to i mnie wolno wchodzić bez pytania. Małżeństwo to coś nie dla mnie - powiedział twardo, przechodząc na środek pokoju.

-Rozumiem, naturalnie. Ja...

-A gdybym nawet kiedykolwiek postradał rozum i zdecydował się na tak drastyczne rozwiązanie, proszę mi wierzyć, panno Sutton, jest pani ostatnią osobą, o której mógłbym zamarzyć.

-Ja też nigdy nie pomyślałabym o tobie! - rzuciła ze złością, lecz zaraz spuściła z tonu. Cały ten pasztet był jej dziełem, po co jeszcze zaogniać sprawę. - Posłuchaj, nie ma potrzeby odwoływać się do naszych pragnień i intymnych spraw. Postąpiłam źle, ale...

-Uważasz, że mówienie o sobie jako o przyszłej pa-

ni Beaumont nie jest wkraczaniem na grunt osobisty? - Rzucił się w jej kierunku, więc wystraszona cofnęła się pod ścianę.

-Chciałeś go uderzyć - powiedziała prędko.

-A co cię ten bałwan obchodzi?

-Jest zdruzgotany. Nie widziałeś, jakie miał oczy? Miałby jeszcze doznać fizycznej przemocy? Uderzyłbyś go, a on ciebie i...

-Wątpię.

Leon miał rację. Gdyby dołożył Kingowi, ten biedak nie miałby pewnie siły oddać.

-To nie fair!

-Co mianowicie?

-Widzisz to zbyt jednostronnie.

-Jednostronnie! A to dobre! - Leon zacisnął zęby. - To ja zostałem postawiony w sytuacji, jakiej nienawidzę. Usiłowałem poradzić sobie z paranoiczną zazdrością Kinga taktownie. Dawałem mu wielokrotnie do zrozumienia, że nie jestem zainteresowany jego żoną. Bóg jeden wie, jakie brednie mu wmawiała. Uczepiła się mnie, a on ciągle interweniował. W ubiegłym tygodniu puściły mi nerwy. Czy to dziwne?

-Pobiłeś go.

-Tak. Tyle że właściwie to on pierwszy zamachnął się na mnie.

-Nie wiedziałam... Fotograf nie uchwycił tego mo-

mentu. Ale... zrozum, King próbuje ratować swoje małżeństwo.

- To małżeństwo już nie istnieje. Przetrzyj oczy... Ich związek się rozpadł, tylko że on tego nie widzi. Nie, nie przeze mnie. Gdyby jego żonie nie zachciało się amarów ze mną, znalazłaby kogoś innego. Jeszcze tego nie rozumiesz?

Podszedł bliżej, tak blisko, że widziała jego oczy, i szybko przesunęła się do okna. Zrozumiała, że jej jedyną bronią jest atak.

- Antonia nie jest jedyną mężatką, z którą... cudzołożyłeś. Miałaś jej dość. Poprosiłeś mnie o przysługę, zależało ci, żeby odcepiała się od ciebie na zawsze. No to masz, czego chciałeś. Osiągnęłam to, kłamiąc, że ty i ja... - zadrżał jej głos.

- I z tego samego powodu, żeby spławić jej męża, powiedziałaś Kingowi o naszych zaręczynach?

-Nie. To nie tak. Neville ogromnie cierpiał. Cierpi. Chciałam, żeby mu ulżyło, żeby miał pewność, że żona go nie okłamuje.

-Proszę, jaka wrażliwa duszyczka - zakpił Beaumont. - A o mnie nie pomyślałaś? Bo co? Bo ze mnie jest gbur, cham i łajdak. Tak uważasz? I świadomie, znając mój uraz do kobiet, ustawiasz się w roli mojej kochanki.

-Wiesz, z jakiego powodu. A resztą... - Nagle zabolało ją to, co powiedział. On nigdy jej nie polubi. -

Nikommu przecież nie wmawiałam, że się w tobie Kocham! - krzyknęła.

-Ale udawałaś świetnie! - Przytrzymał ją za przedramiona. Nie odsunęła się. Nie panikowała. Szczerze mówiąc, rzeczywiście trochę przeholowała.

-Nie dasz się przeprosić?

- I co mi po tym? Od wtorku wszyscy w mojej firmie gadają pewnie tylko o tym, że jestem w Walii i wiję sobie miłosne gniazdko. Antonia zwierzyła się mężowi wczoraj, a to znaczy, że rozpuściła już ploty wszędzie. Po powrocie Kinga zacznie się prawdziwy bal! Jestem zaręczony. .. rozumiesz, zaręczony.

-Nie! - Varnie zakryła ręką usta. - Możesz zaprzeczyć. Nikt im nie uwierzy.

-Miałoby to sens, owszem, ale tylko wtedy, gdybym obrócił twoje banialuki w żart od razu, kiedy tak wielkodusznie odprawiałaś Kinga.

-Więc dlaczego tego nie zrobiłaś?

-Po pierwsze, przytknęło mnie. Ty to masz tupet! Ale skoro nie zaprzeczyłem, to powinienem się jakoś znaleźć w nowej sytuacji. Dlaczego nie miałbym skorzystać z uprawnień, które mi dałaś? Nie widzę powodu.

Varnie popatrzyła na niego niepewnie.

-Czegoś tu chyba nie rozumiem - przyznała. - Co właściwie chcesz powiedzieć?

-Twierdziłaś, że jesteśmy kochankami, ale - zlustro-

wał ją wzrokiem - jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żeby miał tę przyjemność. W tej swojej koszulce wyglądasz całkiem pociągająco.

Varnie spuściła wzrok na piersi opięte białą koszulką i aż zadzwoniło jej w skroniach. Gwałtownym ruchem odsunęła się od Leona. Patrzył jej w oczy i odniosła wrażenie, że bawi go niepokój, jaki w nich dostrzegł. Przyciągnął ją do siebie.

-Chętnie bym się przekonał, jak by to było.

-Nie! - wyszeptała. Wciąż nie docierało do niej, co właściwie się dzieje.

-Ależ tak - zadrwił, przytrzymując ją za ramiona. Poczula, że ogarniają panika.

-Mówiłam ci, że mam uraz do mężczyzn.

-A ja mógłbym powtórzyć, że nie cierpię kobiet - tylko co by mi to dało? A teraz, skarbie, chciałbym poznać smak twoich ust...

- Chyba nie wydaje ci się... - Wydobyła z siebie resztki odwagi. - Nie wygłupiaj się! Och! - krzyknęła, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Odepchnęła go z całych sił. - Nie! Nie wolno ci...

- Niby dlaczego? - zakpił. - Utrzymujesz, że jesteśmy kochankami. Byłoby mi bardzo niemiło, gdybym musiał uznać cię za oszustkę. - Przygarnął ją do siebie i zszokowana poczuła, że wsunął ręce pod koszulkę i pieści jej plecy. Rzuciła głową, nie pozwalając się całować. - Oj,

Varnie, nie bocz się. Jest mi tak dobrze. Masz taką jedwabistą skórę. - Nie wolno ci...

- Wolno. Chyba nawet muszę - powiedział, akcentując słowa. - Pamiętam cię naga, o tak, przypominam sobie... Jesteś piękna i masz doprawdy niezwykłą fantazję, więc chyba nie odmówisz mi prawa, żebym poczuł to, co do tej pory jedynie widziałem.

- Nie... - szepnęła z wypiekami na twarzy.

- Miła moja - wymruczał. Tyle w nim było szczerości, ile w niej, gdy tak go nazwała w rozmowie z Antonią. Umknęła ustami i zaczęła się szamotać. Wyrwała się, podbiegła do drzwi, ale Leon pochwycił ją, wtulił w siebie plecami i ani myślał puścić. - A dokąd to? - zaśmiał się jej w ucho, omiatając oddechem szyję. Poczula go całego i wydało jej się, że umiera. Głośno wciągnęła powietrze. Czula, że ma rozpięty biustonosz, czula jego dłonie gniotące jej pełne piersi, palce drażniące twardniejące sutki.

- Przestań... - szepnęła roztrzęsiona. - Przestań! - szarpnęła się gniewnie.

- To już lepiej - zakpił. - Nie ścierpiałbym u ciebie bierności.

Wsunął dłonie pod rozluźniony paseczek jej spodni.

- Nie! - krzyknęła, gdy opuścił je na brzuch i przesunął w dół ud. Nie drżała już leciutko, lecz całym jej ciałem wstrząsał dygot.

Leon zorientował się chyba, że dzieje się coś niedobrego. Znieruchomiał, wyjął ręce na wierzch, przytrzymał ją i odwrócił twarzą do siebie. Patrzył na nią bez drwiny, jakby sprawdzając, czy nie udawała. Twarz Varnie była kredowo biała.

- Ale ze mnie... - Zakrył dłonią usta. Wciągnął głośno powietrze. - Przestraszyłem cię. - Zabrzmiało to tak, jakby nie mógł uwierzyć, co ze złości zrobił, do czego się posunął. - Nie bój się! - zapewnił żarliwie. - Uspokój się, no już... Jesteś w porządku. Już po wszystkim. Nie skrzywdzę cię. Daję słowo, nie masz się czego bać.

- Wyjdz - wyszeptęła.

- Trzęsiesz się cała. Jesteś...

- Wyjdz - powtórzyła. - Chcę, żebyś wyszedł. Muszę być teraz sama.

Zwiesił ręce po bokach, choć przez sekundę miała dziwne wrażenie, że najchętniej przeprosiłby ją delikatnym pocałunkiem. Pochylił już głowę, lecz nagle gwałtownie się odwrócił i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Varnie opadła na fotel. Dygot stopniowo mijał. Wiedziała, co powinna teraz zrobić. Spakować się i wyjechać. Chyba nawet Johnny nie miałby jej tego za złe. A jednak - dziwne to, ale prawdziwe - coś, nie wiadomo co, powstrzymywało ją od takiego rozwiązania. Szczerze mówiąc, wcale nie chciało jej się wyjeżdżać!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Spodziewała się, że Leon jest w gabinecie, ale gdy zeszła przebrana po prysznicu w świeże spodnie i lekki sweterek, czekał na nią w kuchni. Słyszając, że wchodzi, odwrócił się od okna i kiedy wyrwał się jej cichy okrzyk, wziął jej zaskoczenie za przestrah.

- Nie bój się - powiedział. - Nie będę już taki... szybki.

Na twarz Varnie wypłynął szkarłatny rumieniec. Stały jej przed oczyma wszystkie te gwałtowne sceny. Nigdy w życiu nie zaznała takich intymności.

- Dasz mi to na piśmie? - Raptem poczuła, że nie jest w stanie przebywać z Leonem w jednym pomieszczeniu. - A w ogóle to... idę na spacer - powiedziała drętwą.

- Nie wyjeżdżasz?

- Miałabym się pozbawić twego rozkosznego towarzystwa?

Uśmiechnął się.

- I pomyśleć tylko, że zastanawiałem się, czy nie wy-

rządziłem ci krzywdy. Czego jak czego, ale ostrego języka na pewno cię nie pozbawiłem.

Chwyliła kurtkę z wieszaka przy drzwiach i wybiegła na dwór. A to gad! Nie cierpiała go za strach, jakiego jej napędził, ale nienawidzić - nie potrafiła. W swoich miłosnych zapalach - jeśli w ogóle można to było tak nazwać - nie zamierzał posunąć się daleko. Ot, zwyczajnie zemścił się za to, co na ich temat wygadywała. Miał prawo sądzić, że skoro zraziła się do mężczyzn, to z niejednego pieca chleb już jadła. Zasłużyła być może na cięższą przeprawę. Przecież nie co dzień się zdarza, Żeby kobieta, bez najmniejszej zachęty ze strony mężczyzny, pozwalała sobie na taką bezczelność, by ustawiać go w roli narzeczonego. No więc - zakpiła z siebie - jak to sobie wyobrażałaś, aniołku? Wydawało ci się, że co? Że Leon tak po prostu przełknie to wszystko i podkuli ogon? A jednak nie była w stanie go rozgrzeszyć. Zmusił ją do pozostania w Aldwyn House szantażem. Ale teraz... Czy posunąłby się do szantażu jeszcze raz? Czy w ogóle musiał? Przecież sama odrzuciła myśl o wyjeździe. Taka perspektywa wcale się jej nie uśmiechała - i nie miało to nic wspólnego z Johnnym.

Przypomniało jej się nagle, że kiedy powiedziała: „Idę na spacer” Leon spytał: „Nie wyjeżdżasz?” i to takim tonem, jakby wcale tego nie chciał. Oczywiście, że nie chciał. Gdyby odeszła, kto by mu sprzątał i gotował? Kto

by tego gbura karmił? Ano właśnie, pomyślała, wchodząc do domu. Przeszło godzinę temu powinna mu podać lunch. Ruszyła czym prędzej do kuchni, lecz okazało się, że deliberowała niepotrzebnie. Leon sam zrobił sobie kanapki, a nawet zostawił jedną dla niej! Ogarnęło ją przemożne poczucie wdzięczności. Nie musiał dla niej nic robić. Ale zrobił! Był to naprawdę miły gest, odsłaniający nieznane cechy człowieka, którego starała się znienawidzić, ale... nie potrafiła. Bzdura! Kolejne urojenie, pomyślała. Nadmierna zażyłość z Beaumontem pozbawiła ją na krótko logicznego, racjonalnego podejścia do życia. Postanowiła odzyskać dawną siebie - a na razie po prostu zejść mu z oczu.

Unikanie Leona okazało się zadziwiająco łatwe. Nawet kolacji nie chciał jeść, jak zwykle, w saloniku. Wszedł na moment do kuchni i poprosił, by przyniosła mu ją do gabinetu. Do końca dnia zamienili z sobą nie więcej niż dwa słowa.

Rano wstała wcześniej z przeświadczeniem, że Leon niedługo wyjedzie. Jeszcze niedawno na samą myśl o tym skakałaby z radości, lecz dziś wcale nie podniosło jej to na duchu. Wzięła prysznic - przyzwyczała się już do swego kapryśnego grata - i mocno podenerwowana zeszła do kuchni. Była dziś pierwsza. Gdy Leon przyszedł na poranną kawę, nie powiedziała mu „dzień dobry”, lecz chy-

ba w ogóle tego nie zauważył. Wygląda na zmęczonego, pomyślała, kiedy nalewał sobie filiżankę kawy. Zresztą natychmiast potem wyszedł. I nagle, nie wiedząc czemu, zaniepokoiła się o niego. Zirykowała się na siebie. Na litość boską, był dorosły. Chce spędzić urlop za biurkiem, jego sprawa. Niby dlaczego miałoby ją to martwić?

Ale martwiło, i to tak bardzo, że kiedy zawołała go na śniadanie do kuchni, wybuchła bez namysłu:

- Powinieneś więcej wychodzić!

Patrzył na nią uważnie, bez słowa, jakby się zastanawiał, dlaczego pomyślała o czymś, co nie powinno jej obchodzić.

- Nudny ten twój narzeczony, co? - odezwał się bez cienia uśmiechu.

Z całego serca pożałowała, że w ogóle otworzyła usta.

- To niezdrowo pracować tyle godzin! - powiedziała zdenerwowana.

- Czy ta troska też należy do obowiązków służącej?

Varnie zapłonęły oczy.

- No to pracuj sobie, aż padniesz. Nic mnie to nie obchodzi! - Zakręciła się i poszła posprzątać na gorze.

Nienawidzę go, nienawidzę, powtarzała sobie bez końca. Aż do południa chodziła na przemian zbuntowana, na przemian markotna. To już dziesięć dni, myślała. Nigdy nie uchylała się od pracy, kiedy było trzeba, harowała i w nadgodzinach, ale nawet służbie od czasu

do czasu należało się wolne. Zniosła Leonowi kanapki i odczekała, aż zakończy rozmowę telefoniczną.

- Nie zajmuję się już dziś kuchnią - zakomunikowała, kiedy tylko odłożył słuchawkę. - Dosyć! Służąca to też człowiek.

W oczach Leona pojawił się błysk. - A zatem? - zapytał.

- A zatem mam do wyboru: zawiozę cię gdzieś na kolację - w końcu stać mnie na gest pod koniec twego urlopu - albo kupię coś gotowego na mieście.

Patrzył na nią, jakby chciał, żeby sobie poszła i zostawiła go wreszcie w spokoju.

- OK! - wykrzyknęła zirytowana jego milczeniem. - Przywiozę ci słodko-kwaśne... Chociaż nie. Sos nie powinien być ani ciężki, ani kwaśny, i bez tego...

Jesteś wystarczająco kwaśny, pomyślała, ale nie dokończyła, a Leon jakby odzyskał humor. Roześmiał się. Naprawdę. Śmiał się na cały głos.

-Panno Sutton! Jest pani najbardziej zuchwałą służącą, jaką kiedykolwiek miałem. - Nagle zmienił ton. - Varnie... Chcę, żebyś wiedziała, że nie stanowię dla ciebie żadnego zagrożenia. To był... nieprzyjemny incydent. Przeholowałem, przykro mi.

-Nie przejmuj się - powiedziała impulsywnie, natychmiast odzyskując radość życia. - Nie stała mi się żadna krzywda.

- Jesteś wyrozumiała, bardziej niż na to zasługuję.
- Spojrzał na nią poważnie. - Czujesz się przy mnie... bezpieczna?

Uśmiechnął się uspokojony, gdy zapewniła, że tak, oczywiście, i nagle ogarnęło ją uniesienie. Znowu byli przyjaciółmi, jeśli w ogóle - co bardzo wątpliwe - kiedykolwiek można ich było tak nazwać. Leon zastanawiał się nad czymś.

- Wiesz - powiedział raptem - skoro masz dość zajmowania się kuchnią, to myślę, że lepiej będzie, jeśli to ja zaproszę cię dziś na kolację.

Varnie zmieszła się.

-Naprawdę nie chciałam cię naciągać...

-Sądziysz, że o tym nie wiem? A w ogóle, masz rację, powinienem więcej wychodzić - dodał, jakby chciał ją upewnić, że za tą propozycją nie kryje się nic osobistego.

Wieczorem Varnie ubrała się starannie. Wmawiała sobie, że chce być, jak zawsze, zadbana i że towarzystwo Beaumonta nie ma tu nic do rzeczy. Zresztą jej wygląd chyba niewiele go obchodził, gdyż kiedy zeszła na dół w eleganckiej, podkreślającej zalety figury sukience, przemknął po niej spojrzeniem i rzucił prędko:

- Gotowa? Jedźmy już. Zarezerwowałem stół. - Popatrzyła na niego jak cieleń na malowane wrota. Ochłonęła dopiero w samochodzie.

-Zarezerwowałeś stolik? Ty? Przecież nie znasz tutaj restauracji?

-Masz dziś wychodne. - Zerknął na nią z wyższością, wyjeżdżając za bramę. - Postaraj się z tego skorzystać. I żadnych docinków, proszę.

Nietrudno było się cieszyć, zwłaszcza kiedy się okazało, że Leon wybrał cudowną restaurację w Ruthin Castle. Część osiemnastowiecznego zamku służyła obecnie jako hotel. Otaczały go ogrody i parki, leżące na terenie dawnego średniowiecznego miasteczka Ruthin, które w 1400 roku zajęli Walijczycy pod wodzą Owaina Glendowera.

Varnie nie wiedziała, czego może się spodziewać po tym wspólnym wieczorze, ale jeśli nawet trochę się obawiała, że kolacja upłynie na nieskładnej rozmowie lub zgoła w milczeniu, przerywanym monosylabami, to bardziej nie mogła się pomylić. Johnny twierdził, że Leon potrafi być fantastycznym kompanem. I faktycznie - okazał się czarujący. Wysłuchiwał jej zdania na każdy temat, a co więcej, reagował bez najmniejszej uszczypliwości, gdy niezupełnie się z nią zgadzał. Och, jak przyjemnie, myślała Varnie, i tak ją w pewnej chwili zaskoczyło to odczucie, że aż potrzęsnęła głową.

-Powiedziałem coś nie tak? - zapytał Leon z wyrazem lekkiego rozbawienia.

-Nie, nie... Tylko... Dotarło do mnie, że... że jest mi dobrze.

-Niespodzianka?

-Tak, bo...

-Bo co?

-Oj... Nie zapowiadało się najlepiej.

-Byłaś pyskata - przytaknął.

-A ty zrzędlivy jak diabli - odbiła lekko i raptem ogarnęło ją poczucie winy. Oszukiwała Leona. Nie przyznała się, że Johnny jest jej bratem. Miała czelność naopowiadać Kingom tyle kłamstw! To, co się teraz działo, było krótką chwilą zapomnienia, na które oboje przystali. - A jutro znów będziesz taki sam, jak dziesięć dni temu, podejrzliwy i drwiący.

-A ty będziesz dalej bałamucić ludzi.

Było to aż nadto bliskie prawdy i chociaż wiedziała, że Leon ma na myśli banialuki, które rozgłosiła na użytek tych nieszczęsnych Kingów, przytłoczyły ją znów wyrzuty sumienia. Cały ten blef związany z Johnnym...

- No już, zgoda? - poprosiła gorąco. - Jeśli obiecuję, że postaram się nie odpyskiwać i nie kłamać, a ty przyrzekniesz, że spróbujesz nie zrzędzić i zachowywać się mniej porywczo... - Umilkła, gdyż spojrzał na nią, jakby już oskarżał ją o napastliwość. Uśmiechnęła się najładniej, jak umiała, a on, najwyraźniej zauroczony, przylgnął wzrokiem do jej wydatnych ust. - Czy moglibyśmy, proszę, zawrzeć rozejm... choćby tylko na ten wieczór?

Udał, że się zastanawia.

- Da się zrobić - powiedział. Varnie roześmiała się w głos, a Leonowi błysnęły zęby w uśmiechu, gdy jednocześnie odpukali. W atmosferze średniowiecznego zamku musiało się unosić coś magicznego, skoro tak łatwo się pogodzili. Tego wieczoru wszystko było przepojone magią. Obeszło się bez najmniejszego zgrzytu. Byli z sobą tak zgodni, że zamówili nawet tę samą przystawkę - pięknie podane pomidory w polewie z koziego sera i szalotkę z portwajnem.

Jedli główne danie, gdy najzupełniej bez powodu - chociaż może i przyczynił się do tego wyraz rozpromienionych oczu Varnie - Leon zerknął na nią z zachwytem.

- Wyglądasz super. Jesteś taka inna, taka wytworna.

Błyskawicznie odwrócił wzrok, jakby wyrzucał sobie, że nieprzemysłaną uwagą zmaćcił niezobowiązujący, lekki nastrój.

- Zastanawiałam się, kiedy to zauważysz - odpowiedziała z zawadiackim uśmiechem, który miał świadczyć o tym, że było jej to zupełnie obojętne. Wyczuła, że Leonowi spadł kamień z serca, ale jej reakcja chyba trochę go zaskoczyła. - Pamiętasz, jak to było? Schodzę na dół w swoim najładniejszym ciuchu i co słyszę? „Gotowa?”. Na nic więcej się nie zdobyłeś! - Od razu pożałowała, że nie ugryzła się w język. Ostatnie zdanie mogła sobie da-

rować, naprawdę. Miało zbyt osobisty wydźwięk. - Oj, przepraszam - powiedziała. - Moje prywatne odczucia nie mają znaczenia. Bo nie mają, prawda?

Nie odpowiedział wprost.

-No cóż - stwierdził - człowiek to nie maszyna. Spędzamy z sobą mnóstwo czasu, więc trudno uniknąć niektórych tematów. W osobistych kontaktach...

-Nasze kontakty mają charakter osobisty?

-Moim zdaniem, tak. - Uśmiechnął się, by uniknąć wrażenia, że coś jej narzuca. - Przynajmniej dziś, teraz... Chętnie dowiedziałbym się czegoś o niejkiej Varnie Sutton.

Mowy nie ma! - pomyślała spanikowana. Była czysta jak łza, nie miała się czego wstydzić, ale... Metcalfe był jej bratem.

- Wiesz wszystko, co powinieneś wiedzieć - rzuciła lekko.

-A myślałem już - spojrzał na nią sceptycznie - że przynajmniej dziś nie będziesz kręcić.

-Przysięgam ci to? Kiedy? - zażartowała i błyskawicznie odwróciła rolę. - Może ty... opowiesz mi coś o sobie?

Mógł zaoponować, ale tylko zapytał niechętnie:

- Od czego mam zacząć?

Od samego początku, pomyślała. Raptem zapragnęła poznać wszystkie jego tajemnice.

- Wolałabym się nie rumienić, więc lepiej opowiedz tylko o tym, co cenzuralne.

- Miałaś się nie wyzłośliwiać - przypomniał.

Roześmiała się. Było naprawdę cudownie.

-To prawda. No więc... Masz nie najlepszą opinię... Chodzi mi o kobiety - wyjaśniła prędko, widząc, że jest szczerze zdumiony. - Wybacz, nie powinnam tego powiedzieć, ale sam zdecydowałeś się na poruszanie spraw osobistych.

-Wstrętny babsztyl - dokuczył jej i Varnie poczuła fantastyczny urok leciutkiego flirtu. - Chodzi ci o Antonię?

-No... niekoniecznie. Wydaje mi się - zaszarżowała - że twoje nazwisko pojawiło się nie tak dawno w kolorowych magazynach w związku z jakimś nieciekawym rozwodem. Myle się?

Leon przez chwilę mierzył ją wzrokiem. Wcale by jej nie zdziwiło, gdyby stwierdził, że powinna pilnować własnego nosa, ale tylko skrzywił się z niesmakiem.

- Kobieta, o którą pytasz, nie mieszkała z mężem. Rozstali się na długo przed tym, zanim ją poznałem. Spotkałem się z nią tylko kilka razy. Przestaliśmy się widywać, gdyż rzeczony mąż próbował wykorzystać naszą znajomość jako argument, by nie płacić za sprawę, gdy wystąpiła o rozwód. Usiłowała zresztą wydebić od niego spory majątek. Zorientowałem się, że chętnie by się

w tym celu posłużyła również moją osobą. - Wzruszył ramionami. - Obrzydliwe to było. W końcu moi prawnicy spławili ich oboje.

-Wyszedłeś z tego czysty?

-Do licha ciężkiego, od początku byłem w porządku. Nie zrobiłem nic, czego miałbym się wstydić. Ale błoto się przylepia, choćby i na krótko.

-A potem pojawiła się Antonia King. W tej sprawie też nie masz sobie nic do zarzucenia.?

-Jeszcze mniej niż w poprzedniej. Zresztą sama to wiesz. Powinienem był zwolnić tę pijawkę, kiedy tylko się do mnie przyssała, ale... - Skrzywił się, jakby z siebie drwił. - Z mego punktu widzenia wyrzucenie kobiety z pracy tylko dlatego, że się we mnie... podkochała, było poniżej godności.

Varnie zaśmiała się miękko.

-Nic dziwnego, że masz dosyć kontaktów z kobietami. Te dwie tak ci się dały we znaki, że postanowiłeś ukryć się przed całym babskim rodem.

-Tak. Tyle że ledwie znalazłem upragniony azyl, pojawiłaś się ty... w dodatku nagusiańka, jak cię Pan Bóg stworzył.

Varnie zapiekły policzki.

-Nawet mi tego nie przypominaj.

-W porządku. Ale teraz twoja kolej.

-Na co?

-Oj... Nie co dzień zwierzam się przy kolacji z tak intymnych spraw. Mogłabyś, choćby przez grzeczność, odwdziżyć mi się jakąś swoją tajemnicą.

-Na przykład?

-Na przykład... opowiedz mi bliżej o tym żonkosiu, któremu dałaś kosza. Nazywał się...

-Martin. - Wypowiedziała jego imię z uczuciem absolutnego zaskoczenia. Dziesięć dni temu sądziła, że go kocha, a dziś... Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio poświęciła mu choćby jedną myśl.

-Kochałaś go?

-Myślałam, że tak. Mieliśmy razem wyjechać na urlop. Spóźnił się na lotnisko, więc zadzwoniłam do niego do pracy. Sekretarka, niechcący, wygadała się, że jest żonaty. Przyznał się od razu.

-Masz pecha, ale... powinnaś wystrzegać się takich znajomości. Poszłaś w tym związku na całość, tak?

Bezczelny typ! Jak śmiał zadawać takie pytania?

- Jeśli chodzi ci o to, czy spałam z Martinem, to... Daj spokój, nie twoja sprawa.

Leon przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę.

- Nie spałaś z nim - oświadczył tak pewnie, że aż się roześmiała. Doprowadzał ją czasem do szału, ale i do śmiechu, i to w najmniej oczekiwanych momentach.

Podano deser. Varnie odczuła żal, że ten magiczny wieczór dobiega końca. Magiczny i... pożegnalny. Spoj-

rzała przez stół na Leona. Zamiast jeść, patrzył na nią, jakby pochłaniało go jakieś nagłe spostrzeżenie.

-Coś nie tak? - zapytała. - Ubrudziłam się kremem?

-Buźkę masz czyściuteńką - odpowiedział z leciutkim uśmiechem. - Szczerze mówiąc, zastanawiam się nad tą twoją platoniczną znajomością z żonatym mężczyzną i myślę, jak to z tobą jest. Masz za sobą dużo takich doświadczeń? A John Metcalfe? Był twoim kochankiem? Zechcesz mi o tym opowiedzieć?

- O, nie. Zdecydowanie nie. - Varnie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Są sprawy, o których się nie mówi. A w ogóle to nie psuj wieczoru. Nieczęsto zdarza mi się wychodne. Wiesz, pracuję teraz u takiego jednego tyrana. Rzadko daje odpocząć.

Leon roześmiał się i pokręcił głową.

-Ech, Varnie, Varnie... Facet, który cię w końcu dostanie, będzie się musiał nieźle pilnować.

-To będzie ktoś wyjątkowy - odpowiedziała wesoło. - Absolutnie.

Wypili kawę, poróżnili się lekko przy płaceniu rachunku, gdyż Leon uparł się, że to jego rzecz, a jeśli już koniecznie chce - zażartował - to odliczy sobie tę kolację w rozliczeniu za jej posługę, i przeszli do samochodu.

Przez całą powrotną drogę Varnie czuła się przygaszona. Kończył się pożegnalny wieczór, Leon wkrótce

miał wyjechać. Gnębiło ją i to, że chociaż zwierzył się jej ze swych tajemnic, nie mogła być z nim szczera. A tak by chciała, żeby zrozumiał, że mu ufa. Nie miała pojęcia, jak to sprawić. Wpadła na pomysł dopiero w domu, gdy zamknęli drzwi na noc i Leon podziękował jej za przemiły wieczór. Spojrzała mu w oczy i rozwiązanie przyszło samo.

- Ja też ci dziękuję. - Z uśmiechem położyła ręce na jego ramionach i pocałowała go ciepło, ufnie, nienamiętnie, ale i bez pośpiechu. Przez moment wydawało jej się, że Leon odpowie pocałunkiem, gdy nagle przytrzymał jej ręce takim gestem, jakby chciał ją... odepchnąć. Odsunęła się z wypiekami na twarzy. - Za to też odlicz mi przy wypłacie - powiedziała zduszonym głosem, odwróciła się i starając się nie biec, weszła schodami na górę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Chyba nigdy w życiu nie czuła się tak głupio. W nocy wciąż budziła się z płytkiego snu i myślała o pocałunku, z którym narzuciła się Leonowi. Wstała wcześniej. Najlepiej byłoby od razu wyjechać. Pomyślała o bracie, lecz co tam on i ta jego praca! Spojrzała na walizkę. A jednak mimo wszystko dla dobra Johnny'ego... Westchnęła ciężko. Tak, musiała zostać i dalej udawać jego byłą dziewczynę, choć w głębi duszy pragnęła zagrać z Leonem w otwarte karty. Wiedziała, że to niemożliwe, ale powinna przynajmniej wytłumaczyć mu motywy, którymi się kierowała wieczorem. Zeszła do kuchni i raptem uderzyła ją przeokropna myśl. Leon twierdził, że Antonię King interesowało bardziej jego konto niż on sam. Pazerna okazała się też kobieta, z którą łączyła go krótkotrwała znajomość. Rozwódząc się z mężem, walczyła o duży majątek... Do licha! Czy Leon zobaczył w niej jeszcze jedną taką pijawkę? Jeśli tak, to było to czymś nie do zniesienia.

Przez parę minut krzątała się po kuchni, zmagając

się z tym podejrzeniem, aż w końcu górę w jej odczuciach wzięła duma. Po co było się tak dręczyć, nie spać przez całą noc? Z powodu błałego pocałunku? Ruch w drzwiach uświadomił jej, że nie jest już sama. Odwróciła się błyskawicznie.

- Nie zależy mi na twojej forsie! - wybuchła.

Leon stał przez chwilę, patrząc na jej wyraźnie wzburzoną twarz.

-Więcej nie zaproszę cię na kolację. O to chodzi? Varnie poczuła, że oblewa się szkarłatem.

-Nie. O pocałunek. O to, że...

-A mi o to, że skoro po restauracyjnych luksusach jesteś w takim złym nastroju, to może lepiej ci służyć kolacje domowe.

-Ten mój pocałunek... - Pociągnęła głośno nosem.

-Jeśli miałabyś ochotę na powtórkę, to daruj sobie!

-Nigdy w życiu! - Mało nie uduśliła się ze złości. - Żeby nie wiem co...

-No to świetnie - uciał. - Jesteśmy kwita.

Kwita? Świętoszek się znalazł. A to dobre! Nakryła śniadanie, żeby nie wystygło, i wybiegła z kuchni. Wyjęła z szafki odkurzacz i wzięła się do roboty. Miała gdzieś plany tego bubka i nie zamierzała się do niego dostosowywać, ale... jeśli chciał pracować nad czymś, co wymagało skupienia, to hałas mógłby przeszkadzać. Była tak rozstrojona, że w pewnym momencie uznała, że musi

wyjsc z domu, gdziekolwiek, choćby do supermarketu. Nie potrafiła przewidzieć, jak długo jej nie będzie. Gdyby nie sprawa Johnny'ego, najchętniej wcale by nie wróciła. Przyszykowała Beaumontowi lunch, zawinęła bułkę w serwetkę, postawiła talerzyk na widocznym miejscu i wyjechała połączyć po sklepach.

Oderwanie się od domu poprawiło jej nastrój, lecz jednocześnie ogarnęła ją jakaś dziwna tęsknota - za Aldwyn House, za Leonem. Zupełnie jakby jej dom był tam... i z nim. Brednie! Chyba z tych nerwów rzuciło się jej na mózg. Postanowiła zjeść lunch na mieście. Zmusiła się do tego, ale tak ją ciągnęło do powrotu, że nawet nie zamówiła kawy. Myślała później, że gdyby wiedziała, co ją czeka, pospacerowałyby gdzieś jeszcze dłużej i wstąpiła na popołudniową herbatę.

Wracając, przyłapała się na tym, że nuci piosenkę. Dowodziło to - jeśli w ogóle potrzebowała dowodu - że lepiej się gdzieś ruszyć, niż załamywać ręce. Ponuractwo nie leżało w jej naturze, a przed paroma godzinami była w takim dołku, że...

Widok samochodu stojącego przed domem zaskoczył ją. Nie знаła tego auta, nie należało więc chyba do któregoś z dwojga ich ostatnich gości. Osobiście nie spodziewała się żadnych odwiedzin, toteż mogła tylko przypuszczać, że przyjechał ktoś zaproszony przez Leona - jakiś jego przyjaciel czy znajomy z pracy. No i do-

brze! Wolna woła! Ktokolwiek by to był, co jej do tego? Postanowiła, że wnieście tylko zakupy i albo posiedzi w kuchni, albo pójdzie do swego pokoju.

Skończyło się na zamiarach. Skorzystała z wejścia od kuchni, ale ledwie pojawiła się w drzwiach, Leon wyszedł do niej.

- Pozwól, kochanie - powitał ją takim tonem, jakby naprawdę się stęsknił. Chyba mam coś ze słuchem, po myślała. I co mi tak nogi miękną? O kurczę, trzeba będzie wybrać się do lekarza. Dopiero gdy Leon wziął od niej plastikowe torby, spostrzegła jakąś parę wyłaniającą się za nim z saloniku. - Odniosę to tylko do kuchni - powiedział, lecz wrócił tak prędko, że Varnie nie zdążyła się nawet odezwać. Przedstawił jej gości i uśmiechnął się ciepło. - Pauline i Eddie niestety muszą już jechać, ale... No cóż, słoneczko, nasz sekret się wydał.

Varnie nie miała pojęcia, o czym mówił. Znów wlażłam w coś, co brzydko pachnie, pomyślała. Leon objął ją ramieniem i razem odprowadzili przyjezdnych. Miała ogromną ochotę strząsnąć z siebie jego rękę. Czowała się śmiesznie i głupio, lecz nie wiadomo dlaczego przeszło jej przez myśl, że dzieje się coś, co wymaga od niej lojalności wobec Beaumonta.

- O co w tym wszystkim chodzi? - wybuchła, wyrzucając mu się, gdy samochód zniknął za zakrętem.

Spojrzał na nią z wysoka.

-Chciałaś się zabawić w narzeczoną, no to proszę... Musisz grać tę rolę, kiedy przyjeżdża ktoś z prasy.

-Z prasy? - Zielone jak morze oczy Varnie były okrągłe ze zdumienia. - To znaczy, że... Mam rozumieć, że ci ludzie... to nie są twoi przyjaciele? I powiedziałaś im, że... że jesteśmy zaręczeni?

Leon pokiwał głową.

-Cóż, sama to powiedziałaś.

-Im? Nie... Niby kiedy?

-Czy moglibyśmy wejść do środka?

No tak, rewanżował się jej za wszystko, i to z nawiązką. Nie miała ochoty wchodzić do domu. Była wściekła jak diabli i chciała, by wyjaśnili sobie całą tę sytuację już, natychmiast. Nogi dosłownie wrosły jej w ziemię, lecz Leon po prostu poszedł sobie, a w dodatku - dotarło to do niej dopiero teraz - padał deszcz. Jak furia wpadła do saloniku.

-Kiedy to zrobiłam, no, kiedy?! - krzyknęła na cały głos. - W życiu tych ludzi nie widziałam. Jakim cudem miałabym im powiedzieć, że jestem z tobą zaręczona?!

-Ty? Nie. Ale dziennikarze kochają newsy Ten mają od niedzieli.

Varnie patrzyła na niego z rozdziawionymi ustami.

-Dzwoniłeś do redakcji?

-Ja? - Popukał się w czoło.

-Neville King?

-On albo jego żonka. Tak czy owak, w mojej firmie trwa już pewnie malutkie trzęsienie ziemi.

-A ci twoi... Pauline i Eddie to kto? Dziennikarze?

-Dziennikarką jest Pauline, Eddie to fotograf. Bardzo chciał zrobić nam obojgu zdjęcie. Ale skorzystałem z twojej wersji wydarzeń. Powiedziałem, że macie w rodzinie żałobę i że nie zgadzam się na publikację twojego zdjęcia. Na wszelki wypadek - bo mogliby tu nas odwiedzić jeszcze inni podobnie mili goście - powiedziałem też tej parce, że jeszcze dziś wyjeżdżamy z Walii, gdzieś na kompletne ustronie, żeby, jak się to mówi, skryć się przed całym światem. Chcesz pewnie wiedzieć, dlaczego na to wszystko poszedłem? Proszę bardzo. A co mnie właściwie kosztuje rzekome narzeczeństwo? Doprawdy nic. Niewygórowana cena za uwolnienie się od tych wszystkich bab, które nie chcą się odczepić, choćby mężczyzna wywijał się jak piskorz. Jestem zaręczony. Uff! Wreszcie dadzą mi spokój.

-Obyś się nie przeliczył...

Varaie była tym wszystkim tak przytłoczona, że kiedy tylko znalazła się w swoim pokoju, rozebrała się i położyła spać z mocnym postanowieniem, że niezależnie od tego, jak długo jeszcze przyjdzie im mieszkać pod jednym dachem, zachowa spokój i najdalej posunięty dystans. Postanowienie to zostało wystawione na ciężką

próbę już z samego rana, kiedy zeszła do kuchni. Leon już tam był. Pił kawę.

-Czy podziękowałem ci za zaopatrywanie mnie w prasę? - zapytał.

-Ależ... nie ma za co - odpowiedziała, podchodząc do lodówki po bekon. - Bardzo proszę.

-Dziś mogę załatwić to sam.

-Wybierasz się do miasta?

-Mógłbym. A może pojechalibyśmy razem? Zjedlibyśmy lunch w jakiejś knajpce...

-Nie, dziękuję. A w ogóle to...

-A w ogóle to jesteś na mnie zła za tę wczorajszą rozmowę - dopowiedział. Mogła spytać, o jaką rozmowę mu chodzi, ale dobrze wiedziała.

-Jedno jajko czy dwa? - rzuciła przez ramię.

-A gdybym cię ładnie przeprosił, to czy pozostaniemy przyjaciółmi?

O matko! Ale czarował!

- Posłuchaj, Beaumont - warknęła. - Może i muszę grać twoją narzeczoną, ale bawić się w przyjaźń nie muszę. Mowy nie ma!

Roześmiał się i musiała mu zawtórować. Paskudny typ! Jej serce tańczyło kankana.

Po śniadaniu poszedł do gabinetu i pomyślała już, że zmienił decyzję. Jednakże załatwił tylko kilka telefonów i wychodząc, przystanął w drzwiach kuchni.

-Masz mi może jeszcze coś do powiedzenia?

-Nie, nie. Wszystko w porządku. Tak czy owak, dzięki za propozycję.

Nie poprosił po raz drugi, żeby z nim pojechała, i poszedł wyprowadzić samochód z garażu. Raptem poczuła się nijako. Szkoda, że nie powiedziała: „Jadę”. Wszystko, co miała w domu do zrobienia, mogło poczekać. Sądziła, że Leon wróci niedługo, ale nie przyjeżdżał. Chodziła od pokoju do pokoju. Roznosił ją niepokój. Minęły trzy godziny, a Leona wciąż nie było. Tak długo... Raptem uświadomiła sobie, że za nim tęskni. To prawda, że przesiadywał wiecznie w gabinecie i niewiele go widywała. Ale zawsze był w domu, a teraz go nie było. Zasadnicza różnica.

Tere-fere. Zakpiła ze swoich odczuć i żeby się czymś zająć, poszła na strych.

Po śmierci dziadka zrobiła już tam generalne porządki, lecz pozostało jeszcze mnóstwo drobniejszych rzeczy, których należało się pozbyć. Spakowała do plastikowych worków zbędne ubrania i przedmioty z myślą o oddaniu ich do sklepu fundacji charytatywnej, a niezliczone stare zdjęcia włożyła do oddzielnej torby, by przekazać je matce. Spociała się przy tym i zakurzyła, postanowiła więc wziąć prysznic, lecz ledwie zeszła na dół, wrócił Leon. Tak się ucieszyła na jego widok, że aż sama się sobie dziwiła.

-Dobrze było? - zapytała, gdy wszedł do kuchni.

-Miałaś, widzę, zajęcie...

-No wiesz... W domu zawsze jest co robić. Taki to już nasz babski los - odpowiedziała i nagle nie wiadomo dlaczego poczuła się nieswojo. - Jadłeś coś?

-Tak, ale jeśli jest jeszcze ta twoja szarlotka... - Wystarczyło to jedno zdanie, a od razu zrobiło się jej lekko na sercu. Niesamowite, naprawdę niezwykle!

Leon przywiózł masę gazet. Jedną z nich, tę, którą najbardziej lubiła czytać, odłożył od razu na pojemnik do pieczywa, i usiadł przy stole.

- Dziękuję za prasę - powiedziała. Nie wiedzieć czemu aż zaniemówiła, widząc, że Leonowi wcale się nie spieszy, by przenieść się do saloniku i tam zająć się lekturą. - Mam ci podać szarlotkę teraz, tak?

Podniósł wzrok, popatrzył jej w oczy, zatrzymał się na sekundę na ustach i kiwnął głową, rozkładając gazetę.

-Tak.

Kiedy później przeszedł do gabinetu, Varnie przyszykowała mu kolację na zimno. Ułożyła na talerzu pokrojone w plastry mięso i ser i postawiła obok surówkę. Wieczorny posiłek zjadła już wcześniej, więc znów nie bardzo wiedziała, co z sobą zrobić. Na spacer było już za późno - zwłaszcza że okolica tonęła w ciemnościach - mogła więc równie dobrze pójść do swego pokoju.

Wzięła gazetę i przechodząc obok gabinetu, pomyślała, czy nie zapukać i nie powiedzieć Leonowi „dobranoc”. Do tej pory nigdy tego nie robiła, więc raptem wydało się jej to niestosowne. I w ogóle - co się z nią działo?

Dopiero gdy znalazła się w swoim pokoju, uzmysłowiła sobie, że stało się coś niesłychanego. On i ja, myślała, przygotowując się do snu... Tak się nie cierpieliśmy, a tu proszę - wygląda na to, że potrafimy żyć zgodnie. Uśmiechnięta weszła pod prysznic. Była już w łóżku, gdy raptem przypomniała sobie o gazecie i wstała po nią z jakąś dziwną radością. No bo czy to nie dziwne? Nie chciała, żeby Leon był teraz przy niej, a jednak... Przerzuciła pismo i w jednej sekundzie wyparowały z niej wszystkie ciepłe myśli.

Miała przed sobą zdjęcie Leona, obok - fotografię Aldwyn House, a nad nimi wybity drukiem nagłówek „Potajemne zaręczyny przemysłowca”. Niemal nie wierząc własnym oczom, przebiegła prędko cały tekst. Już sam tytuł odebrała jak trzęsienie ziemi, a potem było już tylko gorzej. „Walijskie miłosne gniazdko”, „pożegnanie z kawalerskim stanem”, „miłość od pierwszego wejrzenia”. Dobry Boże! „Varnie Sutton...”. Ośmielili się podać do publicznej wiadomości jej imię i nazwisko!

Czy Leon widział już ten artykuł? Czy podobny zamieszczono w jego gazecie? A może i w całej prasie, którą przywiózł dziś z miasta? Varnie usiadła gwałtownie-

nie na łóżku z myślą, żeby natychmiast pobiec do Leona, lecz od razu straciła rozpęd. Była w nocnej koszuli. Należało się najpierw ubrać. Poza tym, zastanowiła się, może w ogóle robi z igły widły.

Leon był osobą publiczną. Nawykł do zainteresowania prasy. Najprawdopodobniej spodziewał się jakichś wzmianek. Tak, ale... A jeśli o niczym nie wiedział? Kiedy jadł szarlotkę w kuchni, nie napomknął o tym ani słowem. Może czytał to wszystko dopiero teraz, w tej chwili?

A niech to szlag! Nie dalej jak wczoraj wymawiał jej, że utwierdzając Kinga w przekonaniu, że są narzeczonymi, rzuca ich oboje na żer mediów. Boże święty, co też rozpętała!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po nocy, przedrzemanej w udreće wyrzutów sumienia, Varnie obudziła się o piątej, zlaną zimnym potem. Rodzice! Czytywali wszyscy troje tę samą gazetę, więc na pewno znali już ten tekst. Należało pojechać do domu. Nie miała wyboru. Byli przekonani, że przebywa w Szwajcarii. Przeżyli zatem szok, dowiadując się - i to z prasy! - że ich córka nie tylko nie wyjechała z kraju, ale zaszyła się w Walii, w domu dziadka, a w dodatku jest zaręczona, i to nie z Martinem Walkerem, a z szefem Johnnyego. Nasłuchali się o nim od syna, ale nigdy go nawet nie widzieli. Matkę musiało też bardzo zabołeć, że dla wyjaśnienia zwłoki w ogłoszeniu zaręczyn posłużyła się rodzinnymi sprawami - śmiercią dziadka, żałobą. Tak, należało jechać natychmiast i wszystko wyjaśnić. Najpierw jednak musiała rozmówić się z Leonem. Tylko jak, kiedy? Była piąta rano, na pewno jeszcze spał... Szybko wzięła prysznic, ubrała się i dławiąc w sobie lęk, zła na siebie, że się w ogóle boi, zapukała do jego sypialni i otworzyła drzwi, nie czekając na zaproszenie.

Zaskoczyło ją zapalone światło. Leon nie spał. Siedział w łóżku i czytał. Varnie spaśowała. Popatrzył na nią, jakby pytał: „Czemu zawdzięczam ten honor?“, ale nie wyglądał na urażonego.

-Co się tak czerwienisz? - dokuczył jej lekko. - Jesteś ubrana, więc nie sądzę, żeby groziło mi uwiedzenie.

-Jasne! Powinam była zostawić ci tylko kartkę - odburknęła podrażniona, ale i szczęśliwa, że wraca jej zadziorność. Na takiej fali łatwiej się blefuje. - Muszę niezwłocznie jechać do Cheltenham - powiedziała prędko.

Patrzył na nią w milczeniu przez dłuższą chwilę, po czym, zupełnie speszony, sięgnął po szlafrok leżący w nogach łóżka.

-Wejdz lepiej i opowiedz mi, co się stało. - Varnie odwróciła głowę, lecz natychmiast ostrym tonem przywołał ją do porządku. - Masz zamiar w ogóle wrócić?

-Żadna siła mnie nie powstrzyma! - Chyba naprawdę rzuciło się jej na mózg, skoro mówiła takie rzeczy.

-Dzisiaj? Wrócisz jeszcze dziś?

Varnie skinęła głową. Jeszcze nawet nie wyjechała za bramę, a już myślała tylko o jednym - o powrocie.

- Usiądź tutaj - zaproponował łagodniej i klepnął łóżko. - Porozmawiajmy. W czym rzecz? Skąd ta nagła decyzja? - zapytał, gdy speszona przysiadła obok niego.

- Czy wczoraj wiedziałas już, że wyjedziesz skoro świt,

ale zapomniałaś mi o tym powiedzieć? - Wyraźnie nie odpowiadała mu taka możliwość, lecz jego ton był doprawdy irytujący.

-Gdybyś nie podał tej dziennikarce mojego nazwiska i nie zapoznał jej z pewnymi szczegółami, w ogóle nie musiałabym wyjeżdżać! Ale stało się. Godzinę temu dotarło do mnie, co się porobiło przez to ogłoszenie naszych rzekomych zaręczyn. Wrze nie tylko w twojej firmie...

-Chcesz powiedzieć, że jakiś twój znajomy z Cheltenham miał w rękach wczorajszą prasę?

-A więc czytałeś to?! Widziałeś... - Zrozumiała, że robiąc mu wyrzuty, niepotrzebnie traci czas.

-Całkiem ładne zdjęcie domu... O co ci chodzi? Myślałem, że z tym Martinem rozstałaś się na dobre - dodał ostrzej.

-I słusznie! - odwarknęła.

-W takim razie kto...

Naprawdę chciała mieć to już za sobą.

-Moi rodzice!

-Rodzice?! Sądziłem, że nikogo nie masz. Mówiłaś przecież, że...

-Och, zamknij się! - Poczła się jak w pułapce. - Mieszkają w Cheltenham.

-Skoro cię wydziedziczyli, to co ich to może obchodzić, czy jesteś zaręczona, czy nie?

-Nie wydziedziczyli mnie! - krzyknęła dotknięta do żywego.

-Powiedziałaś, cytując: „Nie mam gdzie się podziać”. Czyli co? Przyjąłem cię do pracy, kierując się fałszywymi przesłankami, a przez cały ten czas mogłaś mieszkać w domu?

Odwróciła wzrok. Skłamać czy powiedzieć prawdę? Ale co stałoby się z Johnnym?

-Opowiadałam ci o Martinie.

-Tak, tylko co to ma wspólnego z...

-Mówiłam, że rozstałam się z nim definitywnie na lotnisku.

-Kiedy to było?

-Dokładnie tego dnia, kiedy się tu znalazłam - przyznała, czując, że jeśli natychmiast nie wymyśli czegoś przekonywającego, pograży się całkowicie. - Zamiast do Szwajcarii ruszyłam z Heathrow z powrotem do Cheltenham. ..

-Mówiłaś, że Metcalfe skontaktował się z tobą. - Leonowi naprawdę nie brakowało szarych komórek.

-Tak było! - skłamała. - Nie chciałam wracać do domu. Rodzice wiedzieli, że jadę na wakacje z Martinem. Byłam zdenerwowana całą tą sprawą, och, przeokropnie. Moi starzy strasznie by się przejęli. Zrobiło mi się ich żal. W drodze zatrzymałam się na kawę... Zastanawiałam się, co robić, i właśnie wtedy zadzwonił do mnie

na komórkę John Metcalfe, mój dawny przyjaciel. Powiedział, że wie, że straciłam pracę w hotelu i że jeśli dalej jestem bezrobotna, to ma coś dla mnie. Zaproponował mi pracę gosposi w Aldwyn House. Natychmiast skorzystałam z okazji.

-Żeby uchronić rodziców przed zdenerwowaniem? - Leon przyjrzał się jej badawczo.

-Tak. Nie spodziewali się mnie wcześniej niż za dwa tygodnie. Pomyślałam więc... miałam taką nadzieję... że przez ten czas wezmę się w garść i potem będzie mi łatwiej udawać, że już nie cierpię.

-A cierpisz, tak? Z powodu tego żonkosia?

Nie miała pojęcia, co to ma w tej chwili do rzeczy, ale naprawdę ucieszyła się, że może powiedzieć absolutną prawdę.

-Nie za bardzo. Dręczyłabym się, gdyby było tak, jak mi się wydawało - że go kocham. Ale nie kocham, więc odczuwam tylko niesmak. Nie mogę sobie darować, że byłam taka naiwna, że dałam się nabrać. To upokarzające.

-Oj, Varnie, Varnie... - Leon objął ją ze współczuciem, lecz zaraz zdjął rękę z jej pleców. Dziwne, ale nie miałyby nic przeciwko temu, żeby tulił ją dłużej. - Czy naprawdę musisz jechać do rodziców? Nie mogłabyś do nich zadzwonić? Pokręciła głową.

-Dziadek zmarł niedawno. Wiem, że całe to nieporozumienie uznałby po prostu za śmiechu warte, ale matkę na pewno bardzo zabolalo, że tak niecznie wykorzystałam jego pamięć, wplątując go w te nasze rzekome zaręczyny. - Raptem uświadomiła sobie, że Leon mówił tak, jakby nie chciał, żeby wyjeżdżała, i mocno zabiło jej serce. Znowu coś sobie roje, pomyślała zniesmaczona. Obchodzi go wyłącznie to, żeby mieć podaną na czas kolację. - Tak czy owak, nie da się tej sprawy załatwić jednym telefonem. Rodzice będą się zamartwiać, póki mnie nie zobaczą. - Podniosła się, czując, że im szybciej ruszy w drogę, tym lepiej.

-Jedź ostrożnie. - Leon wstał i raptem Varnie ogarnął straszliwy żal, że muszą się rozstać. Oczywiście natychmiast się otrząsnęła.

-Gdyby rodzice tu zadzwonili, to... - Nieopatrznie znów zastawiła na siebie pułapkę.

-Znają ten numer telefonu? - Spojrzał na nią zaskoczony.

-Ależ skąd! Przepraszam. Z pośpiechu wszystko mi się kręci.

-Uspokój się. Spokojnie porozmawiacie i rodzice na pewno cię zrozumieją. Powiesz im całą prawdę, tak?

-Nie będę ich oszukiwać - przyznała, ale teraz, gdy uzmysłowiła sobie, że zaszokowani tym nieszczęsnym artykułem mogliby zatelefonować tutaj, chciała jak naj-

prędzej ruszyć w drogę. - Ale nie martw się, nikomu nic nie powiedzą... Zostawiam ci w lodówce jedzenie... Muszę już... - Podbiegła do drzwi, lecz Leon przytrzymał ją za rękę. Popatrzyła mu w oczy. Czy to możliwe, że kiedyś wydawały się jej zimne i nieczułe?

- Nie zgłodnieję. - Uśmiechnął się. - Pocałujesz mnie na do widzenia?

Żartował? Naprawdę nic już nie rozumiała. Kręciło się jej w głowie, a on patrzył na nią tak jakoś...

-Nie jestem nachalna.

-Wiem - powiedział cicho i nagle wyrzucił z siebie:

- I w ogóle nigdy nie miałaś kochanka! Nigdy z nikim nie poszłaś do łóżka!

-Rozgłoś to całemu światu, a naprawdę popsujesz mi opinię - roześmiała się, pragnąc potraktować lekko domysł, który najwyraźniej nim wstrząsnął.

-Rany boskie! Ależ ze mnie... Musiałem cię śmiertelnie przerazić. Jak ja...

-Nic nie mów. - Objęła go spontanicznie, pocałowała i nagle przestraszyła się, czując, że Leon zeszywniał.

- Przepraszam cię, bardzo przepraszam. Naprawdę nie wiem, co mnie napadło. Uwierz mi, wtedy chciałam tylko, żebyś zrozumiał, że ci ufam... - A niech to! Plątała się i prawie zapomniała, że ma jechać. Nigdy w życiu nie czuła w sobie takiej gorączki, rozterki, zakłopotania.

- A teraz? Dlaczego mnie pocałowałaś?

Ugięły się pod nią nogi.

- Chyba... chyba dlatego, że wydawało mi się, że jest ci źle.

- I chciałaś mnie pocieszyć? Oj, Varnie... Prawdziwy z ciebie skarb. - Gdy wyciągnął do niej rękę, jak zahipnotyzowana weszła w jego objęcia. Nigdy w życiu nie zaznała takiej słodczy pocałunku, ciepłego, czułego, pełnego oddania. Potem Leon zakołysał nią w ramionach i patrząc w jej zielone jak morze oczy, powiedział: - Jedź już, ruszaj w drogę.

Była już w Cheltenham i stała na światłach, gdy odezwał się telefon komórkowy. Dzwoniła matka.

-Varnie? Cześć. Do licha, co się dzieje?

-Właśnie do was jadę. Będę dosłownie za kwadrans. Nie dzwoniłaś chyba do Aldwyn House? - Nagle ogarnęła ją panika.

-A po co? Napisali w tym zdumiewającym artykule, że wyjeżdżacie, więc...

-W porządku. Nie dzwoń tam, bardzo cię proszę. Zaraz wam wszystko wyjaśnię.

Matka czekała na nią przed domem. Objęła ją, ucałowała, ale widać było, że jest podminowana.

- Chodź szybko do domu i wytłumacz cały ten nonsens. Wczoraj byliśmy u cioci Crissie i dopiero dziś rano mieliśmy okazję przejrzeć prasę. Tata pierw-

szy natknął się na ten artykuł... Robi herbatę... Jadłś śniadanie?

Ojczym przywitał ją z radością i ledwie znaleźli się w kuchni, matka przypuściła szturm, zadając pytanie za pytaniem. Oszustwo Martina wstrząsnęło rodzicami. Zrelacjonowała im całą sprawę, nie ukrywając niczego. Schody zaczęły się dopiero w chwili, gdy zaczęli pytać o Beaumonta. Wyjaśniła, że Johnny wynajął mu Aldwyn House, nie powiadamiając jej o tym, a skoro już zdecydowała się ochłonąć z szoku właśnie tam, postanowiła mimo wszystko pozostać.

-Ale jak doszło do tego, że się zaręczyliście? - Matka jak zwykle pierwsza dotknęła sedna sprawy.

-Nie zaręczyliśmy się. W ogóle nic nas nie łączy -odpowiedziała Varnie i raptem pobiegła myślami do Leona, do cudownej chwili porannego rozstania. Z trudem skupiając się na rozmowie, opowiedziała rodzicom o Kingach, o spotkaniu z Nevillem, o tym, że zrobiło się jej go żal i o wszystkich tego konsekwencjach.

-Prawdziwy cud, że Beaumont natychmiast się nie wyprowadził! - zburczała ją matka. - Na litość boską, Varnie! Naraziłaś brata na utratę pracy! Czy ty w ogóle myślisz? Mieliśmy z nim tyle problemów, a teraz, kiedy wreszcie się jakoś ustawił... Nie przyszło ci do głowy, że ten Beaumont go zwolni? A tak się chłopak starał, tak mu zależy na tej robocie...

-Nie biadol, kochana. - Ojczym przerwał matce. - Leon Beaumont jest dojrzałym człowiekiem. Gdyby chciał wszystkiemu zaprzeczyć, toby to zrobił. Podtrzymując wersję o zaręczynach, miał zapewne jakiś swój cel. Varnie, dobrze myślę?

-Bardzo dobrze. Z pewnych przyczyn Beaumontowi zależy na tym, żeby uważano go za zaręczonego.

- I poszłaś na to?

- Tak, to czysta sprawa. Cała ta sytuacja nie potrwa długo. A w ogóle to nie wyjechaliśmy z Aldwyn House. Wracam jeszcze dziś. Johnny usiłował załatwić swemu szefowi pomoc w osobie pani Lloyd, ale staruszka wy mówiła się i postanowiłam ją zastąpić. Jestem więc te raz gosposią.

Varnie zjadła z rodzicami obiad. Kochała swój dom, rodziców, całe to tak przyjazne jej otoczenie, ale - czego naprawdę nie pojmowała - czuła przez cały czas pustkę i przemożne pragnienie powrotu do Aldwyn House. Matka w ogóle nie chciała jej puścić, ojciec głośno wyrażał niepokój, że jazda nocą krętymi, nieoświetlonymi drogami w górach może być niebezpieczna, i namawiał ją, żeby choć przenocowała. Varnie jednak uparła się wracać. Pożegnała się serdecznie z rodzicami, prosząc, by dzwoniли do niej na komórkę, a nie na numer telefonu domowego, gdyż - jak wyjaśniła, oczywiście nie do końca zgodnie z prawdą

- linia musiała być wolna z uwagi na charakter pracy Beaumonta.

Kiedy wyjeżdżała z domu, na niebie pojawiły się chmury. Zanim znalazła się na granicy Gloucestershire z Walią, zaczęło padać. Pogoda mnie ostatnio nie rozpieszcza, pomyślała Varnie, ale cóż, lepszy już deszcz niż mgła, a w górach może w ogóle się przejaśni.

Niestety rześisty deszcz zamienił się w ulewę. Miotane wiatrem ściany wody zmniejszyły widoczność w dolinach niemal do zera. W taką noc zwykły śmiertelnik nie wyściubia nosa z domu. Varnie jechała powoli, wdzięczna losowi za to, że przynajmniej ma się gdzie skryć. Szczęście nie trwało jednak długo. Raptem coś zaczęło szwankować w układzie kierowniczym i chwilę później zorientowała się, że... złapała gumę. Nie! - uznała zdesperowana. To niemożliwe! Samochód był supersprawny. Ojciec konsekwentnie tego wymagał i pilnował, by nie zapomniała w porę oddać auta do przeglądu.

Na szczęście - a miała prawo sądzić, że za tak potworną noc i iście szatańskie warunki jazdy naprawdę należało się jej trochę szczęścia - Varnie znajdowała się w pobliżu zjazdu z szosy i dała radę powoli ustawić samochód na szerszym poboczu. Tylko co dalej? Siedziała za kierownicą, jakby miała nadzieję, że ta przeklęta opona naprawi się sama. Tymczasem na tracie nie pojawił się ani jeden pojazd. Powoli dotarło do niej, że będzie

musiała poradzić sobie sama. Rzecz w tym, że nie miała zielonego pojęcia, jak wymienia się koło, a już szczególnie jak to zrobić w czarną noc na nieoświetlonej drodze, gdy nad górami przechodzi nawałnica. Może odczekać do chwili, aż deszcz osłabnie? Tak, tyle że czas mijał, a nic nie wskazywało na to, by niebo miało się przejaśnić. Może do kogoś zatelefonować? Do Leona? W żadnym wypadku. Do ojca? Też bez sensu. O tej porze spał już pewnie smacznie, a w dodatku od domu oddzielał ją szmat drogi. Do Leona było dużo bliżej. Ale nie... Robić z siebie taką niezgułę?

Varnie wysiadła z samochodu i otworzyła bagażnik. Były tam jakieś narzędzia do wymiany koła, tyle że... Bóg jeden wie, jak się nimi posłużyć. Kwadrans później, po bezowocnych próbach odkręcenia śrub, Varnie zrezygnowała. Komuś, kto je mocował, pomyślała, chyba nigdy nie przyszło do głowy, że będą odkręcane. Próbowala wielokrotnie, użyła do tego całych swoich sił, ale niestety po prostu nie chciały się poddać. Wyprostowała plecy. Była przemoczona do suchej nitki, więc naprawdę nie miało już znaczenia, że deszcz lał się na głowę, a włosy lepiły się do twarzy.

Wyjęła telefon komórkowy. Lepiej już wyjść na głupią. Niezbyt to przyjemne, ale przynajmniej znane. Była bliska łez, gdy dotarło do jej świadomości, że w górach trudno jest uzyskać połączenie z komórki, gdyż traci się

zasięg. Wściekła na telefon, góry, pogodę, przebite koło i własną nieporadność ruszyła szosą przed siebie, sprawdzając co kilkadziesiąt metrów, czy może jakimś cudem w komórce nie odezwie się sygnał. Był to długi marsz. Kiedy wreszcie telefon ożył, prawie się popłakała. Drżącymi palcami wystukała numer do Aldwyn House z nadzieją, że Leon nie położył się jeszcze do łóżka, a przy najmniej nie usnął twardo.

Nie spał. Odebrał telefon od razu, jakby czekał. Varnie nie dała mu dojść do słowa.

- Leon! - zawołała roztrzęsiona. - Złapałam gumę i nie mogę zmienić koła. Próbuję i próbuję, ale...

Odczuła wielką ulgę, gdy nie zaczął jej pouczać, nie powiedział, żeby dała mu spokój ani nie robił żadnych wymówek. Zareagował tak, jakby natychmiast zrozumiał, że jest u kresu wytrzymałości nerwowej.

- Gdzie jesteś? - zapytał łagodnie.

Najlepiej jak potrafiła, urywanym głosem, opisała mu okolicę.

-A w ogóle to... dokładnie nie wiem. Ja...

-Już do ciebie jadę - przerwał. - Zamknij się w samochodzie. Znajdę cię.

Nie miała pojęcia, ile czasu zajmie Leonowi dotarcie do niej, ale podniósł ją na duchu już sam fakt, że nie musiała prosić, żeby przyjechał. Nawet nie zasugerował, że zadzwoni do jakiegoś warsztatu, by ktoś

inny udzielił jej pomocy. „Już jadę” - powiedział. Tylko tyle. Aż tyle!

Uszła daleko od samochodu i nim wreszcie dotarła na miejsce, zaczęły ją dręczyć wyrzuty sumienia, że w ogóle zaalarmowała Leona. Deszcz dalej lał jak z cebra. Przemoczone buty tak ciążyły, że kusiło ją, żeby je po prostu zdjąć. Równie niewygodnie szłoby się w samych skarpetkach.

Raptem, w ciszy nocy, usłyszała nadjeżdżający samochód. Nie miała pewności, czy powinna dać się zobaczyć, więc kiedy wyjechał zza zakrętu, przywarła całym ciałem do skał, lecz po chwili omiotły ją przednie światła. Kierowca gwałtownie zahamował. Serce zaczęło jej bić jak szalone. O matko! A jeśli to jakiś rzezimieszek? Na bezdrożach dochodziło czasem do tragedii. Pisała o tym prasa...

-Leon... - wyszeptała ze łzami w oczach.

-Troszeczkę zmokłaś. - Wsiadł, podszedł do niej spokojnie i patrząc na nią badawczo, delikatnym ruchem odgarnął z jej twarzy ociekające wodą włosy. - A teraz szybciutko! - Pomógł jej wsiąść na przednie siedzenie. - Jazda do domu!

-Dzię... dziękuję, że przyjechałeś. - Zęby tak jej szczękały, że prawie nie mogła mówić. Nie odpowiedział, wyobraziła więc sobie, że jest na nią zły.

- Nie mogłam czekać w samochodzie. Komórka nie łapała zasięgu.

-Najważniejsze, że nic ci już nie grozi. Tylko to się liczy. Masz coś do zabrania ze swojego samochodu?

-To... torebkę. - Znów zaszczekały jej zęby. Chciała po nią pójść, ale Leon stanowczo się temu sprzeciwił i wysiadł. Dopiero wtedy Varnie uświadomiła sobie, że cała się trzęsie i jest przemarznięta do szpiku kości. Nie bardzo wiedziała, co robił Leon, aż do chwili gdy poczuła, że otula ją kołdrą. W rekordowo szybkim czasie znaleźli się przed Aldwyn House. Nie tracąc czasu na zamykanie bramy i wstawianie samochodu do garażu, Leon zajął się wyłącznie nią. Varnie bardzo chciała panować nad sobą, ale czuła się niewyraźnie.

-Próbowałam zmienić koło - powiedziała w drzwiach, ale Leon przytrzymał tylko opadającą z niej kołdrę i przepuścił ją przodem.

- Opowiesz mi o tym później. A teraz idź prędko na górę i weź gorący prysznic. Skorzystaj z mojej łazienki.

-Nie, nie. Mogę... - Zadygotała, a Leon najwyraźniej nie miał zamiaru bawić się w dyskusje.

-Pod prysznic. Już! - zakomenderował, a kiedy popatrzyła na niego, nie ruszając się z miejsca, wziął ją na ręce. Przez moment nie rozumiała, o co chodzi. Wniósł ją po schodach prosto do swego pokoju i postawił w łazience.

- Daję ci minutę. Masz ściągnąć te mokre łachy i wejść pod prysznic.

Była tak zaszokowana, że na moment przestała się nawet trząść.

-Bo inaczej co? Sam mnie rozbierzesz? - Zakryła ręką usta.

-Licz się z taką możliwością - warknął i stanął przy drzwiach z drugiej strony. Prysznic był fantastyczny. Och, jeszcze, jeszcze... Gorąca woda obmywała jej głowę i całe ciało. Varnie powoli zaczęła się rozgrzewać.

- Jak ci tam?

O matko! Miała towarzystwo! Czy przez zaparowaną szybę było ją widać? Czy Leon w ogóle na nią patrzył?

-Świetnie! - odrzyknęła. Miała nadzieję, że zabrzmiało to pewnie, tak jakby wcale nie była zażenowana tym, że jest naga, a za oszklonymi drzwiami stoi mężczyzna. A zwłaszcza on. Mężczyzna, którego prawie nie знаła, ale... pokochała całym sercem.

-Rozgrzałaś się? Jeśli tak, to wychodź.

No, nie! Miłość miłością, ale czuła się naprawdę głupio. Zakreśliła kurek, lecz nie ośmieliła się poruszyć. Niechby najpierw zamknął te drzwi! Drzwi się nie zamknęły, a przeciwnie, uchylły się szerzej, a w szparze pojawił się duży puszysty rącznik. Varnie okręciła się nim i wychodząc z łazienki, prawie wpadła na Leona, uzbrojonego w całą masę rączników.

- Masz, to na włosy.

Uniosła ręce, by owinąć głowę, i nagle duży ręcznik zaczął się osuwać. Pisnęła przestraszona, Leon jednak uratował sytuację, wtykając poluzniony koniec na miejsce. Poczula jego palce przy piersi, lecz zachowywał się przyzwoicie. Podał jej kolejny ręcznik i podprowadził ją do łóżka. Siedziała, osuszając szyję i ramiona, a on wycierał jej stopy i nogi do kolan, a potem zajął się włosami. Miała wrażenie, jakby nagle znalazła się w innej galaktyce.

-Kto by to pomyślał, że masz takie uzdolnienia - wymruczała sennie.

-Mało mnie jeszcze znasz, dziecinko. - Uśmiechnął się tak cudownie, że zatrzepotało jej serce. - No, a teraz owiń włosy suchym ręcznikiem i... - Zdjął z grzejnika gruby szlafrok. - Włóż to.

Zachowywał się wręcz wzorowo. Spokojnie i pewnie robił wszystko, co uznał za konieczne, by uchronić ją przed zapaleniem płuc. Pomyślała, że powinna zachowywać się mniej ulegle.

-Założę się, że na posiedzeniach zarządu grasz zawsze pierwsze skrzypce - docięła mu, ale kiedy przytrzymał przed nią szlafrok, wstała i posłusznie włożyła ręce w rękawy. Przewiązał go paskiem i dopiero wtedy wyciągnął spod niego wilgotny ręcznik.

-Dobranoc - powiedziała. - Bardzo ci za wszystko dziękuję.

Bez słowa przeprowadził ją do jej pokoju.

-Gdzie trzymasz nocne koszule? - zapytał, ale zawstydzona, pokręciła głową.

-Prześpię się w tym.

Nie sprzeciwił się i odgarnął kołdrę. Jak w transie weszła do łóżka. Była tak wyczerpana, że nie miała siły nawet kiwnąć palcem. Leon okrył ją po szyję.

-Dobranoc - powtórzyła.

-Nie zrywaj się z samego rana. Musisz odpocząć. - Opadały jej już powieki, gdy nachylił się i delikatnie ją pocałował. - Dobranoc.

Varnie usiłowała otworzyć oczy, ale same się zamykały. Nie zastanawiała się, dlaczego go kocha. Wiedziała po prostu, że tak jest.

Spała mocno, ale o szóstej, zgodnie ze swym wewnętrznym zegarem, powoli zaczęła się wybudzać. Nie czuła się jednak na siłach, by od razu wstać i przypomniało jej się, co zalecił Leon. Mam się wyleżeć, pomyślała, rozpamiętując pocałunek na dobranoc, i jej usta same rozciągnęły się w uśmiechu. Otworzyła oczy.

- Zawsze budzisz się uśmiechnięta? - usłyszała nagłe i natychmiast ocknęła się na dobre. Musiało mi się przyśnić, pomyślała, lecz ten głos był taki realny. I nic dziwnego! Leon stał nad nią. - Pomyślałem, że może

miałabyś ochotę na herbatę. - Przysiadł na łóżku, więc poderwała się, żeby usiąść.

-Wstanę.

-Możesz, ale nie musisz.

Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Z największym trudem walczyła o wyrzucenie z siebie choć jednej spójnej myśli.

-Miałam już wolne wczoraj - powiedziała.

-Nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś wziąć sobie wolnego również dziś.

-Rozpieszczasz mnie - spróbowała zażartować, a Leon się roześmiał. Dobił ją, gdy ze śmiechem dodał, że, owszem, docenia jej wdzięki, ale radziłby, żeby nie siadała wyżej. Pobieгла za jego spojrzeniem i... spiekła raka. Jej piersi wychyliły się spod pościeli. Prędko podciągnęła kołdrę. - Gdzie się podział mój szlafrok? - jęknęła.

-To nie moja sprawa, słowo daję - powiedział Leon wesoło. - Pewnie w nocy zrobiło ci się gorąco i sama go zdjęłaś... Pij herbatę. Zobaczymy się później.

Popatrzyła za nim niepewnie. Jakoś nie mogła sobie przypomnieć tego momentu. Zresztą nieważne. Ważne było jedynie to, że go pokochała. Bardzo źle się stało. Już niedługo ich drogi miały się rozejść. - Leon wracał do Londynu, a jej pozostawał powrót do rodziców. I co miała zrobić z tą swoją miłością? Nic. W tej sprawie nie dało się zrobić absolutnie nic. Nie zamierzała jednak

spędzić w łóżku całego dnia i zadrezczać się beznadziejnymi myślami. Gdy zeszła na dół, powitał ją od razu zapach smażącego się bekonu.

- Nie powinienes się tym zajmować! - natarła na Lenę. - To należy do moich obowiązków.

-Masz dziś wolne.

-Poważnie?

-Ja i żarty?

Uwielbiała, jak się z nią droczył.

-Wakacje dobrze ci służą - powiedziała. Wołała już być zgryźliwa, niż rzucić mu się na szyję.

-Mam rozumieć, że byłem na początku jak przysłowiowa wrona, co tylko kracze i kracze?

Uśmiechnęła się i spoważniała.

- Zresztą, jakie to wakacje! Większość czasu przeprowadziłaś... - Raptem przeszło jej przez myśl to, co najważniejsze. - Mam już odejść, tak?

Leon spojrział na nią ostro.

-Skąd ci to przyszło do głowy?

-Pomyślałam... - załamał się jej głos. - No, że... Potrafisz kucharzyć, umiesz wszystko... więc pomyślałam, że może nie jestem ci już potrzebna.

-Panno Sutton - stwierdził z nieporuszoną twarzą. - Jest mi pani potrzebna. - Zadzwieczęła patelnią. - Jedno jajko czy dwa? - zapytał i od razu wróciło jej życie.

Wybuchła śmiechem. Czyż nie wymigiwała się często od odpowiedzi, rzucając to samo pytanie?

Jedli śniadanie, a za oknem wciąż lał deszcz. Zastanawiali się, jak spędzić ten dzień. Praca w ogrodzie nie wchodziła w grę. Leon zaproponował, że podjedzie w góry i sam wymieni koło w pozostawionym przy szosie samochodzie, ale Varnie nie chciała się na to zgodzić. Zmókł poprzedniego wieczoru, dosyć się już namęczył... Zaproponowała, że podzwoni po warsztatach.

- Nie pojedziesz - zaproponowała twardo i wygłosiła całą tyradę.

Leon wysłuchał jej spokojnie, lecz na koniec badawczo powiedział:

- Uprzejmie przepraszam, ale czy ty byłaś kierowniczką tego waszego hotelu?

Varnie aż zamrugała. Z tej miłości chyba naprawdę pomieszało się jej w głowie.

-Masz mnie za idiotkę? Uważasz, że jestem przemądrzała?

-Skądże znowu - odparł sucho. - Jest z pani niezły twardziel, panno Sutton. - Uśmiechnęła się, ale za moment odechciało jej się cielęcych zapatrzeń. Leon spojrzął na nią spode łba: - Ten John Metcalfe...

Varnie zamarła, czując, że uginają się pod nią nogi.

-O co chodzi?

-Powiedziałas, że z nim spałaś.

Mogła się bronić jedynie poprzez atak.

-Nie twoja sprawa! - zezłościła się i od razu poczuła się różniej.

-Czy on jest impotentem?

-A skąd mam wiedzieć? - krzyknęła i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że Leon jest pewien, że nie miała nigdy kochanka i że jej gwałtowna reakcja jedynie utwierdziła go w tym przekonaniu. - Ty draniu!

-No dobra, zadzwonię do warsztatu - odparł bez cienia urazy i wyszedł z kuchni. Po mniej więcej godzinie powiedział, że znalazł kogoś, kto zajmie się jej samochodem, ale będzie szybciej, jeśli podrzuci kluczyki. Wyjechał, a Varnie zakrzętała się wokół swoich spraw. Przejrzała ubranie, w którym była wczoraj. Buty niestety nie nadawały się już do noszenia. Gdy zadzwonił telefon, pomyślała, że to na pewno nie do niej. Chyba że Russel... Może znów odwiedzał rodziców. Podniosła słuchawkę i... usłyszała głos swego brata.

-Gdzie jesteś? - zapytała, pewna, że wcześniej wrócił do kraju.

-W Australii. A ty... Co robisz w Aldwyn House? Miałem nadzieję, że Leon... Och, wiem, wiem. Znienawidzisz mnie za to, co zrobiłem. Wynająłem mu twój dom, kiedy cię nie było, ale... Nic nie rozumiem. Miało cię nie być. Miałaś wyjechać do Szwajcarii. Co się stało? Śnieg stopniał czy co?

Jeśli Johnny dzwoni z Australii, pomyślała Varnie, to nie pora opowiadać mu o Martinie. Zresztą brat nie dał jej dojść do słowa.

- Rozumiem. Wróciłaś z urlopu wcześniej. Całe szczęście, że nie za wcześnie. Bo Leona już nie ma w Aldwyn. A może przypadkiem? Nie, nie, jasne. Nie powinno go być, ciebie zresztą też. Rzecz w tym, że... Mam tyle do opowiedzenia, ale nie mogę, zanim Tina nie porozmawia ze swoimi starymi...

Jaka Tina? Jacy starzy?

-Johnny, wolniej.

-Trajkoczę, co?

-Owszem, trajkoczesz.

-Dziwisz mi się? Jestem zakochany! Wczoraj Tina zgodziła się wyjść za mnie. Cudo nie dziewczyna, mówię ci, Varnie. Problem w tym, że jej starzy wyjechali. Będą w przyszły poniedziałek, a umówiliśmy się, że powiemy rodzicom o naszych planach tego samego dnia. Nie mogę więc zadzwonić do domu. Póki co, nie mów nic mamie i ojcu, dobrze?

-Dobrze. - Varnie prawie oniemiała z wrażenia.

-I jeszcze jedno. Pomyślałem, że skoro nie wracam do kraju, to może powinienem jak najprędzej zawiadomić Leona, żeby poszukał sobie kogoś na moje miejsce.

-Johnny, wolniej, wolniej - powtórzyła Varnie, czu-

jąc, że kręci się jej w głowie. - Mam rozumieć, że nie wracasz do Anglii? Że rezygnujesz z pracy?!

- Tak. Inaczej się nie da. Tina ma tu dobrą robotę... Właśnie dlatego chciałem się skontaktować z Leonem. Po pierwsze dlatego, żeby powiedzieć komuś, ko muś spoza rodziny, że się żenię, a po drugie żeby złożyć ustną rezygnację. Varnie, muszę kończyć. Przyjedziecie na mój ślub, prawda? Tina jest super. Ściskam cię, pa. - Przerwał połączenie.

Varnie opadła na fotel. To oczywiście wspaniale, że jej brat znalazł dziewczynę swoich marzeń, że jest szczęśliwy. Rodzice też się ucieszą. Tak, tylko co miała teraz powiedzieć Leonowi? Przyznać się, że jest siostrą jego asystenta, który właśnie oświadczył, że nie wraca ani do kraju, ani do pracy? A może nie mówić nic i po prostu wyjechać? Bo przecież, uświadomiła sobie nagle, nie musiała już chronić Johnny'ego. Nic jej tu nie trzymało. Była wolna!

Jak to nic? Jak to wolna? - myślała z rozpaczą. Przecież kocham Leona. On jeszcze nie wyjeżdża, może zostanie dłużej, na całe te dwa tygodnie, kiedy nie miało być Johnny'ego? Gdybym odeszła teraz, nigdy więcej byśmy się nie zobaczyli.

Była w kuchni, gdy wrócił i od razu się zameldował.

-Kawy? - spytała.

-Z przyjemnością.

Zaraz potem zamknął się w gabinecie, ale po paru kwadransach przyszedł i zaproponował, żeby we dwoje wybrali się na zakupy. Na lunch wrócili do domu, a przed wieczorem mechanik i jego pomocnik przywieźli naprawiony samochód.

Następnego dnia się przejaśniło. Zaraz po śniadaniu Leon zaproponował spacer. Varnie spojrzała na niego przekornie.

-Chodzisz na spacerki ze swoimi służącymi? Z gosposiami - poprawiła się szybko.

-W dniu, kiedy wymogłaś na mnie, żebym się z tobą ożenił, przestałaś być jedynie moją gosposią. Jesteśmy w tym chyba zgodni?

Miała już zaproponować, powiedzieć coś ostrego, ale zrezygnowała. Prawda była taka, że dla każdego, kto go znał, zaręczyny oznaczały jedno: Beaumont się żeni. Varnie pozostała tylko jedna broń - śmiech. Ściągnęła brwi.

- Wymogłam, nie wymogłam, ale ty nie zaprotestowałeś.

Leonowi wesoło błysnęły oczy.

- Śnij dalej, słoneczko - zadrwił. Oboje wybuchli śmiechem i raptem musnął wargami jej usta.

Był to jeden z najlepszych dni w całym życiu Varnie. Rozmawiali, śmiali się, spacerowali. Gdy podtrzymywał ją na kamieniach lub kiedy przeskakiwali kałużę, jej serce śpiewało z radości. O, jakże kochała jego dotyk!

Następnego dnia od samego rana roznosiły ją nerwy. Kochała Leona, taka była prawda. Tylko na co mu, myślała, ta moja miłość? Jest daleko od domu, pozbawiony kontaktu z przyjaciółmi, więc ostatecznie co mu szkodzi odrobina rozrywki. Może nawet trochę mnie polubił - ale nic więcej. Nie obchodzi go jako kobieta, a wczoraj... wczoraj chyba trochę przeszarżowałam.

Było jej głupio i czuła się tak niezręcznie, że starała się go unikać. Kiedy wszedł do kuchni, wymówiła się jakimiś zajęciami na górze. Pojechał po gazety, a gdy wrócił, odkurzała salonik.

-Zrobione - oznajmiła, nie patrząc na niego. - Masz pokój do dyspozycji.

-Przywiozłem ci prasę.

-O, jak miło. Dziękuję. - Wzięła od niego gazetę i od razu wyszła.

Do południa zrobiła wszystko, co należało zrobić w domu, zjadła kanapkę, zaniósła na tacy lunch dla Leona do saloniku i wybiegła do ogrodu. Po deszczach ziemia jeszcze nie obeschła, ale zawsze można było coś uprzątać. Varnie zerknęła w stronę domu. Leon stał przy oknie saloniku i obserwował ją. Zapragnęła znaleźć się obok niego, ale nie uległa pokusie. Kochała go, wczoraj czuła się z nim tak swobodnie, lecz dziś odczuwała jakiś wewnętrzny opór, niewytłumaczalny i przytłaczający. Leon miał powodzenie, kobiety lgnęły do

niego i mu się narzucały. Nie chciała być jedną z nich, jedną z wielu. Odłożyła ogrodowe narzędzia i postanowiła przejechać się na próbę - choć była przekonana, że wszystko zostało znakomicie naprawione - swoim samochodem. Wróciła ze świadomością, że kolacja będzie dla niej ciężkim przeżyciem. Od dwóch dni jadali wspólnie w kuchni, więc byłoby wręcz śmieszne, gdyby nagle znów zaczęła nakrywać do stołu w saloniku wyłącznie dla Leona.

Zjedli razem, ale nie potrafiła być naturalna. Jakaż by to była dla niego rozkosz, gdyby wiedział, co czuła! Starając się okazać obojętność, przyłapała się na tym, że nie potrafi się nawet uśmiechnąć. Rozmowa rwała się, a w końcu w ogóle przestali się do siebie odzywać. Ubiegłego wieczoru Leon pomógł jej zmywać. Dziś ledwie zjadł, odsunął krzesło, bąknął „dziękuję” i wyniósł się gdzie indziej. Varnie od razu pożałowała, że sprawy przybrały taki obrót. Pozmywała jednak, sprzątnęła kuchnię i wiedząc, że tak musiało być, zastanowiła się, co robić. Mogła posiedzieć tutaj, pójść do saloniku, ale tam był Leon, albo położyć się do łóżka. Wybrała to ostatnie. Było jednak jeszcze wcześniej, czuła się rozstrojona i nie mogła usiedzieć na miejscu. Postanowiła wziąć prysznic. Raptem przypomniało jej się, że nie zmieniła w swojej łazience ręczników. Wyszła z pokoju na korytarz, sięgnęła na półkę ścien-

nej szafy i jak oparzona cofnęła dłoń, gdy natrafiła na świeżo uprasowane koszule. Błyskawicznie zebrała je i przeszła prosto do pokoju Leona. Chyba naprawdę działo się z nią coś nie tak, gdyż zamiast jak zwykle położyć czystą zmianę bielizny, ręczniki i koszule na stoliczku przy drzwiach, bez pukania otworzyła drzwi i... zastygła bez ruchu.

-Leon! - Zakryła ręką usta. Stał w takiej pozycji, jakby chodził po pokoju i zatrzymał się w pół kroku. - Przepraszam - wybąkała. - Nie wiedziałam, że tu jesteś.

-Najwyraźniej - rzucił przed siebie.

Miała ochotę wycofać się jak najprędzej, widząc, że jej niezapowiedziane wtargnięcie w ogóle go nie obeszło, ale uznała, że zachowałyby się kompletnie bez godności, gdyby wyszła i położyła koszule pod drzwiami.

-Wybacz - powiedziała sztywno. - To się więcej nie powtórzy.

-Rzecz nie w tym, że weszłaś - powiedział, dobitnie akcentując słowa. - Dla każdego, kto ma oczy, jest jasne jak słońce, że poszłabyś wszędzie, byleby tylko mnie tam nie było.

Varnie odczuła nagle wielkie poruszenie.

-Och, Leon - westchnęła płaczliwie. - Nie chodzi o ciebie.

-Nie? W takim razie o co? Przez cały dzień unikasz mnie jak zarazy. Już się zbierałem, żeby z tobą pogadać.

Jeśli czymś cię zirytowałem, to chyba mam prawo wiedzieć czym.

Aż się uśmiechnęła. Dwa tygodnie temu nie obeszloby go ani trochę, gdyby sprawił jej przykrość, a dziś... Gotów był się tłumaczyć. Niczego to oczywiście nie zmienia, jesteś dla niego nikim! - odpowiedział sceptyczny głos i lepiej, żeby go słuchała.

- Ja... - zaczęła bezradnie i nagle poczuła straszliwy zamęt w myślach. - Przyjechałeś tutaj, bo miałeś po dziurki w nosie kontaktów z kobietami. A ja... - Urwała, odkrywając nagle, że miłość polega również na tym, że nie chce się denerwować kogoś, kogo się kocha. Zrozumiała, że swoim dzisiejszym zachowaniem mogła trochę zirytować Leona, wyznała jednak otwarcie: - Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi, ale... zaczęłam się zastanawiać, czy zważywszy na twój uraz do kobiet, nie zachowuję się... no, odrobinę za przyjaźnie.

- Czy mi się nie narzucasz? To miałaś na myśli?

Może tak, może nie... Zrobiło się jej gorąco.

- Czy... czy mogę zostawić twoje koszule tam? - Podeszła do kredensu. Nie odpowiedział, więc położyła je na blacie i zamierzała wyjść. Raptem poczuła, że nie chce rozstawać się w niezgodzie. Wyciągnęła do Leona rękę. - Pogodzimy się? Chciałabym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi.

Pokręcił głową.

-Tyle w tobie różności - powiedział bez cienia urazy. Podeszedł i ujął jej dłoń. Nie uściśną! jej jednak po przyjacielsku, lecz przytrzymał, zaglądając głęboko w zielone jak morze oczy Varnie. - Wybaczam ci - powiedział z uśmiechem i leciutko musnął jej usta. - Pamiętasz? Ty też mnie kiedyś pocałowałaś, żeby pokazać, że mi przebaczasz i ufasz.

-Tak... to prawda. - Pragnęła oddać mu pocałunek, lecz wiedziała, że musi trzymać uczucia na wodzy. Cofnęła się o krok. Tak nakazywał rozsądek. Kto jednak powiedział, że miłość jest rozsądna? Prawie nieświadoma tego, co robi, objęła Leona za szyję, pocałowała go i natychmiast odczuła zakłopotanie. Szukała rozpaczliwie jakiegoś logicznego wyjaśnienia swego zachowania, ale żadnego racjonalnego powodu po prostu nie było. - Jesteśmy kwita - powiedziała, siłąc się na wesołość, chcąc jak najszybciej wyjść. Tak nakazywał rozsądek. Raptem poczuła, że nogi jakby wrosły jej w ziemię, a potem, co nappełniło ją dziką radością, Leon przygarnął ją do siebie.

-Nie sądzę, żeby to wystarczyło - wymruczał tuż przy jej ustach. - Jak myślisz? - Uniósł głowę.

Była tak oszołomiona, że myślenie przychodziło jej z trudem.

- Czy normalnie... Czy przyjaciele tak się całują? - za pytała, wiedząc, że postąpiłaby najmądrzej, wymykając się teraz z objąć Leona, ale było jej tak dobrze, tak słodko...

Ośmieliła go chyba swoim nedorzecznym pytaniem, gdyż uśmiechnął się przekornie. - Przyjaciele owszem, tak, a więcej niż przyjaciele... Zaraz zobaczysz. - Namiętnie pocałował ją w same usta. W Varnie zaśpiewała radość.

- Panie Beaumont - powiedziała, kładąc ręce na jej bokach. - Znowu pan zaczyna. Nie odpowiadam za konsekwencje.

Roześmiał się ciepło, uwodzicielsko i przyciągnął ją do siebie. Objęła go w pasie i wtuliła się w jego ramiona. Kochała go! Z całej duszy, z całego serca. Nagle poczuła, jak bardzo jest pobudzony.

-Leon! - wyszeptała.

-Coś nie tak?- zapytał delikatnie.

-Nie tak by było, gdyby ci się przestało chcieć - odpowiedziała i wcale nie przejęła się tym, że mogłoby to zabrzmieć wyzywająco, gdyż Leon roześmiał się cicho, jakby jej reakcja jeszcze bardziej go oczarowała, i znów poszukał jej ust. Poczula, że pieści jej plecy. Wielbiła w duszy jego ręce, wargi. Wiedziała, że oboje pragną więcej, coraz więcej, lecz kiedy objął jej piersi, przestraszyła się i przyłgnęła do niego całym ciałem.

-Rozluźnij się, miła moja - Odczekał chwilę. - Bo inaczej przestanie mi się chcieć - zagroził wesoło.

-Och, ty! - zawołała, odzyskując swobodę i zarzucając mu ręce na szyję.

Pieścili się i całowali, zapominając o całym świecie. Varnie czuła, że gubi biustonosz, bluzkę, spodnie. Wkrótce oboje byli nadzy.

-Nigdy w życiu, nigdy tak mi nie było - szeptała roznamiętniona. - Tylko, Leon, ja...

-Wiem. Nie bój się. Poprowadzę cię.

Spojrzała mu oczy. Były ciepłe, pełne oddania. Uśmiechnęła się, dając mu całkowite przyzwolenie na to, by poprowadził ją wszędzie, dokąd by tylko zechciał. Chwilę później znaleźli się -w łóżku. Przeniósł ją tam na rękach, nie przerywając pocałunku. Kiedy poczuła go na sobie, jej ciało samo, naturalnie i bez najmniejszego oporu, przygotowało się na jego przyjęcie, Leon rozkoszował się przez moment ciepłem jej ud. Popatrzył jej w oczy i czule pogładził bok twarzy. Zachwycił się jej urodą.

- Pragnę cię - powiedziała. - Nie wiedziałam, że mogę pragnąć aż tak.

Pieścił ją coraz namiętniej, a ona miała ochotę krzyczeć. Wyznać, że kocha go z całej duszy. Że z miłości do niego...

I raptem poczuła się tak, jakby ktoś chlusnął na nią kubłem lodowatej wody. Miałaby się przyznać, że go kocha? Chyba padło jej na rozum! A czy on chciał od niej miłości? Ależ skąd! W tym, co robili, nie było miłości, w każdym razie z jego strony.

- Nie! - krzyknęła spanikowana i odepchnęła go od siebie.

Leon uniósł się nad nią lekko.

-Nie? - Może tak jej się tylko wydawało, ale w jego głosie oprócz przekory zabrzmiało zdumienie i niepokój.

-Ja... Ja nie mogę - Wydostała się spod niego i przez chwilę leżała, odwrócona plecami. Usłyszała, że odetchnął głęboko.

-Nie bój się - powiedział spokojnym, kojącym tonem. - Mamy przed sobą całą noc...

Poczuła, że słabnie w niej wola. Och, jakże go pragnęła, jak bardzo chciałyby...

- Przepraszam - wydusiła z siebie chrapliwym szeptem. - Po prostu nie mogę - powtórzyła i póki było ją jeszcze na to stać, zerwała się z łóżka i pobiegła do swojego pokoju. Zatrzasnęła mocno drzwi na wypadek, gdyby mimo wszystko nie wytrzymała i postanowiła wrócić. Myślała też, że Leon może zechcieć postawić na swoim i przyjdzie do niej. Niepotrzebnie się obawiała. Nawet nie zapukał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ta noc zdawała się nie mieć końca. Varnie wiedziała, że postąpiła słusznie, ale jak to wytłumaczyć sercu? Wiedziała też, że musi wyjechać, i to bezzwłocznie, bez pożegnania z Leonem. Odpychając od siebie wszelkie „ale”, które mogłyby zmienić jej decyzję i opóźnić wyjazd, napisała do niego tylko kilka słów: „Drogi Leonie, myślę, że najlepiej będzie, jeśli odejdę teraz”. Kartkę zostawiła na schodach. Z torbą na ramieniu przeszła cicho do bramy i otworzyła ją. Całe szczęście, że nie wstawiła samochodu do garażu, wystarczyło więc tylko otworzyć pilotem drzwiczki i usiąść za kierownicą.

Było jeszcze ciemno, gdy znalazła się na granicy Gloucestershire. Zatrzymała się i przez moment chciała zawrócić do Walii, przeżywając moment straszliwego rozdarcia. Cóż z tego, że miała pewność, że stało się tak, jak musiało się stać.

Rodzice zawsze wstawali wcześniej, kiedy więc zajechała do domu, kręcili się już przy śniadaniu. Varnie przywitała się z nimi z przyklepionym uśmiechem, ale

szybko zorientowała się, że są czymś zbyt przejęci, by spostrzec, że coś się jej nie powiodło.

-Nie mogłaś spać? Ach, ty ranny ptaszku! - zażartował ojczym. - Właśnie mieliśmy do ciebie zadzwonić.

-Wiedziałaś o tym? - Matkę aż roznosiła radość.

-O czym?

-Dopiero co telefonował Johnny. Żeni się - odpowiedział ojciec. - Ale nam zrobił numer!

-Tak, wiem. Johnny chciał powiedzieć o tym wam pierwszym, ale zatelefonował do Leona... do Beaumonta, żeby złożyć rezygnację z pracy, i tak wypadło, że ja odebrałam telefon i...

- I wiesz co? - przerwała jej matka. - Nie tylko się żeni, i to z jakąś ponoć cudowną dziewczyną, ale zaprasza nas wszystkich na ślub do Australii. A ty... - Raptem przyjrzała się uważniej córce. - Wyjechałaś z Aldwyn House na dobre, czy wracasz?

- Nie jestem już potrzebna Leonowi - odpowiedziała Varnie i mało brakowało, a zaczęłaby płakać. Jednak jej rodziców tak pochłoneła sprawa ożenku Johnny'ego, że przy śniadaniu rozmawiali tylko o tym. Na wpół do dziesiątej ojciec miał umówioną wizytę u okulisty i po stanowili, że zaraz potem przejadą się po biurach podróży, by się zorientować, gdzie i w jakim terminie można najkorzystniej załatwić bilety na samolot do Australii.

Matka zauważyła, że Varnie wygląda na zmęczoną, i za-

proponowała, żeby odpoczęła, a oni z ojcem zarezerwują przelot również dla niej.

Po wyjeździe rodziców w domu zrobiło się cicho. Yarnie była zadowolona, że przynajmniej nie musi wykrzesywać z siebie entuzjazmu z powodu czekającej ich podróży do Australii ani też udawać, że w jej świecie kwitną same róże bez kolców. „Nie jestem już potrzebna Leonowi”. Tak powiedziała matce i wszystko w jej życiu obecnie do tego się sprowadzało. Poszła do swego pokoju, wzięła prysznic i przebrała się w świeże ciuchy. Usiłowała cieszyć się, że znowu jest w domu, gdzie wszyscy ją kochali, lecz sercem była gdzie indziej.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Tyle się dziś zdarzyło, a na zegarze dopiero dziesiąta... Varnie postanowiła się czymś zająć. Zeszła do kuchni, zajrzała do lodówki i pomyślała, że rodzicom będzie miło, gdy po powrocie zastaną lunch na stole. Pokrzętała się trochę, gdy usłyszała dzwonek do drzwi. Poszła otworzyć, nieciekawa ani tego, kto przyszedł, ani czego chce. Uchyliła drzwi i prawie zemdląła z wrażenia. Na schodkach stał Leon Beaumont. Krew uderzyła jej do twarzy. Przez dłuższą chwilę patrzył na nią twardo. Nie odzyskała jeszcze głosu, gdy odezwał się pierwszy:

- Panno Sutton, wydaje mi się, że nie rozliczyliśmy się jeszcze do końca.

W głowie Yarnie panowała kompletna pustka.

-Jeśli chodzi o zapłatę za moją pracę, to dziękuję, ale nie...

-Być może wyraziłem się niejasno. - Wbił w nią wzrok, jakby czekał, czy czegoś nie doda. - Sprawa ma charakter osobisty.

Varnie najchętniej zatrzasnęłaby mu drzwi przed nosem. Nie domyślał się chyba, że go kocha? Nie wolno mu było się o tym dowiedzieć.

- Mam wrażenie - rzuciła ostro - że wczoraj wieczorem stosunki między nami przybrały taki obrót, że doprawdy aż nie wypada, by do czegoś takiego do szło między pracodawcą a podwładnym. Daj więc spokój i przestań pleść o tak zwanych sprawach osobistych.

- W zdenerwowaniu nieopatrznie sama narzuciła rozmowie osobisty ton, odwołując się do ich nieszczęsnego zbliżenia. - Musiałeś wyruszyć w drogę około szóstej, skoro pojawiaasz się tu tak wcześnie.

- Dokładnie o wpół do siódmej - odparł swobodnie.

- A ty o której wyjechałaś?

-Tuż po piątej.

-Czyli wtedy, gdy po raz pierwszy przysnąłem.

Varnie przyjrzała mu się uważniej. Czy miała rozumieć, że Leon, podobnie jak ona, przeżył bezsenność? Naturalnie z innych powodów.

-Nie sądziłam, że wiesz, gdzie mieszkam.

-Nie wiedziałem... To długa historia.

Dopiero w tym momencie Varnie uświadomiła sobie, że zachowuje się grubiańsko. Jak mogła tak długo trzymać Leona za drzwiami?

-Wejdz, proszę - powiedziała niechętnie. Wcale nie uśmiechało się jej go zapraszać. Ależ tak! - sprzeciwiło się jej zakochane serce. Marzysz o tym. Przecież myślałaś, że nigdy już się nie zobaczycie. - Tylko że... przykro mi, ale nie zastałem rodziców.

-Nieważne - odpowiedział. - Nie do nich przyjechałem.

-Napijesz się kawy? - Po przeszło trzygodzinnej jeździe musiał być zdżony.

-Wolałbym, żebyś poczęstowała mnie kilkoma szczerymi odpowiedziami. Czy choć raz zdobędziesz się wobec mnie na uczciwość?

Varnie była naprawdę poruszona. Poprosiła Leona, żeby usiadł na kanapie, zastanawiając się nad jego prośbą. Owszem - do pewnego momentu, dopóki nie domyśliłby się jej uczucia - mogła zmusić się do otwartości. Przysiadła na drugiej sofie i nie bez oporów przyznała:

-Fakt, byłam z tobą troszeczkę nieszczerą.

-Troszeczkę? Tylko troszeczkę?

-Nie sądzę, żebym w sumie nakłamała dużo - odpowiedziała drętwo. - W każdym razie nie celowo.

- A tak niechętny?

Nie miała pojęcia, ile i co wiedział. Jednakże sam

fakt, że zdobył jej adres, wskazywał na to, że wiedział więcej, niż sądziła. Ale to był jej dom, rodzinny dom... Leon nie miał prawa zakłócać nikomu spokoju. Musiała przystąpić do ataku, gdyż w przeciwnym razie stałaby się szczeniakiem w jego rękach.

-Co wiesz? - natarła.

-Mam rozumieć, że jak ci powiem, to z reszty się jakoś wyłgasz?

-Och, zamknij się! - Wybuchła śmiechem. - Nie, nie, przepraszam. Mów! Jakim cudem dowiedziałeś się, gdzie mieszkam? Oraz - tak, to było najważniejsze - dlaczego w ogóle zależało ci na tym, żeby mnie znaleźć?

Leon patrzył na nią przez dłuższą chwilę z taką miną, jakby się zastanawiał, czy powinien być z nią szczery, nawet jeśli nie spodziewał się usłyszeć prawdy z jej ust.

-To pierwsze było łatwe. Na drugie pytanie... - Umilkł, lecz po chwili powiedział: - Pewnie znów się zarumienisz, ale chyba przyznasz, że wczoraj wieczorem oboje daliśmy się ponieść emocjom.

-Owszem - przyznała. Fizyczny pociąg był wzajemny. Nie było sensu zaprzeczać. Tak, tyle że z jej strony wiązał się z prawdziwym uczuciem.

Leon podziękował jej za szczerą rozbrajającą ciepłym uśmiechem.

- Nie wiem, jak ci przebiegła ta noc i czy w ogóle spałaś, ale ja nie mogłem się zmusić do snu. Wal-

czyłem z sobą, żeby nie pójść do ciebie. Chciałem cię uspokoić.

- Ty? Mnie?

Uśmiechnął się delikatnie.

-Byłaś tak bardzo zdenerwowana... Przez te dwa tygodnie zdążyłam cię troszeczkę poznać. Wiedziałem, że dotąd nie poznałaś, czym jest prawdziwy seks. W pewnej chwili wyszeptalaś, że w życiu tak się nie czułaś, że nie było ci tak dziwnie... no więc... chciałem cię uspokoić, ukoić.

-Ale zrezygnowałeś.

-Musiałem. Wczoraj wieczorem - przyznał - wcale nie zamierzałem się z tobą kochać. Tak to po prostu wyszło. Między tobą a mną jest, Varnie, jakaś chemia, która sprawia, że oboje spontanicznie pakujemy się w nieprzemysłane sytuacje.

Varnie spojrzała na niego zaskoczona, niemal marząc o tym, by wiedzieć o życiu tyle co on.

- A zatem uznałeś, że lepiej nie interweniować na wypadek, gdyby ta... ta chemia... znów zamieszalała nam w głowach?

Leon kiwnął głową.

- Tak, ale Bóg jeden wie, co to była za noc. Około piątej pomyślałem, że jeśli wytrzymam jeszcze godzinę, to i tak zaraz wstaniesz, i postanowiłem położyć się do łóżka.

-Poszedłeś spać, a ja właśnie wyjeżdżałam...

-Przysięgam, zdrzemnąłem się na nie więcej niż dziesięć minut, po czym ocknąłem się i aż do szóstej przeżywałem istne katusze. Kiedy wreszcie wyszedłem z pokoju i zobaczyłem tę twoją kartkę na schodach, nie wierzyłem własnym oczom. Tobie może faktycznie wydawało się, że wyjazd jest najlepszym rozwiązaniem, ale ja tak nie uważałem. O nie!

Varnie całą siłą woli zmusiła się, by nie doszukiwać się w tym, co powiedział, czegoś, czego tam po prostu być nie mogło.

-No, ale chyba i tak nie zamierzałeś zostać w Aldwyn House na dłużej, i w ogóle po co ci służąca? Potrafisz sam świetnie zadbać o siebie i mieszkanie, a lodówka jest pełna. Musiałbyś jedynie...

-Lodówka, owszem, może i jest pełna, tylko co z tego. .. Dom jest pusty - bez ciebie.

Varnie poczuła, że raptem wyschły jej usta, a serce wali jak szalone. Przeżyła straszliwą chwilę, usiłując sobie wmówić, że za stwierdzeniem Leona nic się nie kryje. A jednak... Spojrzała na niego. Nie, nie powiedział tego ot tak sobie. Nie czarował. Dom bez niej był dla niego pusty. Tak to odczuwał, naprawdę.

- Kiedyś i tak musiałabym wyjechać...

- Owszem, ale nie bez pozostawienia mi adresu. Wyjechałaś i nawet nie pomyślałaś o tym, żeby powiadomić

mnie, gdzie będziesz. Czy naprawdę znaczę dla ciebie tak niewiele?!

O nie, pomyślała prędko Varnie. Wszystko, byle nie to. Za nic nie przyznałaby mu się, ile dla niej znaczył.

- Skąd wzięłeś mój adres? - Za wszelką cenę musiała ukryć swoje uczucie.

Popatrzył na nią bez uśmiechu i przez sekundę bała się, że powtórzy pytanie, ale odpuścił jej, jakby sądził, że i tak wrócą do nurtującego go problemu.

- Zadzwoń do tego twojego Johna Metcalfea - odpowiedział wprost.

- Do Australii?! Nie wiedziałam, że masz jego numer.

O matko, pomyślała strwożona. Co też Johnny mógł mu nagadać?

-Nie miałem - przyznał. - Ale nie znam nikogo innego, kto, jak sądziłem, może mieć twój adres albo przynajmniej numer telefonu. Zadzwoń do swojej sekretarki.

-O szóstej rano?!

-Nie. Wiedziałem, że twoi rodzice mieszkają gdzieś w okolicach Cheltenham, więc pojechałem w tym kierunku, a do Evelyn zadzwoniłem już z drogi, o siódmej. W firmie jest normą, że kiedy ktoś z zarządu wyjeżdża na urlop, zostawia do siebie kontakt. Metcalfe oczywiście nie pełni kierowniczej funkcji, więc go to nie obowiązuje, tyle że... pracuje bezpośrednio ze mną, a to nieco

zmienia sytuację. Moja sekretarka to mądra dziewczyna, więc wzięła od niego namiary. Kiedy tylko dojechała do pracy, od razu zadzwoniła do mnie na komórkę. Zatelefonowałem do Metcalfea z najbliższej poczty i wiesz, co mi powiedział? Że się żeni. Tak się rozgadał, że ledwie wycisnąłem z niego twój adres. A ty - spojrzał na nią żywo - co o tym myślisz? Metcalfe się żeni, nie jest ci przykro?

-Ależ skąd! Cieszę się.

-Naprawdę? Wiedziałaś o tym? Uśmiechnęła się do swoich myśli.

-Tak. Między innymi z tego powodu moich rodziców nie ma teraz w domu. Załatwiają sprawy związane z naszą podróżą do Australii na jego ślub.

-To znaczy, że twoi starzy też go znają? No, nie! Nie sądzisz, że pora już, żebym się dowiedział, co tu jest, do czorta, grane?!

Zdaniem Varnie w tej sprawie nie należały się Leonowi żadne wyjaśnienia i naprawdę nie musiała się tłumaczyć. Tylko że... kochała tego paskudnego aroganta.

-Fakt... nie byłam z tobą do końca szczerą.

-Niby nie wiem! - Dosłownie dusił się ze złości. - Skąd się dowiedziałaś, że Metcalfe się żeni? Przed wyjazdem do Australii nie znał tej dziewczyny. Ach, rozumiem... zadzwonił do ciebie na tę przesławną komórkę!

-Przesławną?

- Powiedziałaś mi, bardzo zresztą sprytnie, że Metcalfe zadzwonił do ciebie na komórkę, gdy zgnębiona wracałaś z lotniska po splawieniu tego żonkosia... Ale... Wcale do ciebie wtedy nie zadzwonił. Tak czy nie?

Varnie czuła, że zbiera się jej na histeryczny śmiech.

-Tak, to znaczy nie, nie zadzwonił.

-I cała ta historyjka o tym, że nie chciałaś wracać do domu, by nie martwić rodziców, to też banialuki, tak?

-Nie! To prawda. Rodzice mieli za sobą trudny okres. Dość się nadenerwowali. Postanowiłam wylizać się z ran w Aldwyn House.

-Rozumiem, bywałaś już tam wcześniej. Myślałaś, że dom jest wolny, i wiedziałaś, gdzie znaleźć klucz. Ale... Nie sądzisz, że mimo wszystko podejmowałaś pewne ryzyko?

Do licha ciężkiego! Nic wtedy nie ryzykowała. Ryzykowała dopiero teraz, ale skoro już miała polec, to przynajmniej z pieśnią na ustach.

-Nie miałam się czego bać. Nie musiałam odnajdywać żadnego klucza. Jestem... jestem właścicielką Aldwyn House - dokończyła słabnącym głosem.

-Co takiego?!

-Dziadek, ten, który niedawno zmarł, zapisał mi dom w testamencie.

Leon zmienił się na twarzy.

- Chwileczkę - powiedział zduszonym głosem.

- Czy ja dobrze zrozumiałem? Mieszkam w twoim domu? A niech to szlag! Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Sprzątałaś, gotowałaś dla mnie, zrobiłaś z siebie służącą...

-Nic wielkiego - usiłowała przerwać. - W hotelu...

-Mów! - uciął. - Gadaj prawdę. Dlaczego, na przykład, Metcalfe ma klucz, którym może dysponować i wynajmować swoją własność komu chce?

-Klucz dałam mu dawno temu, myślałam, że mnie nie będzie. Faktycznie, wynajął ci Aldwyn House bez mojej wiedzy. Rano, zaraz po tej nocy po moim przyjeździe - zarumieniła się mocno - znalazłam w poczcie list do niego od pani Lloyd. Naprawdę starał się ją zatrudnić na czas twojego urlopu, ale przed wyjazdem do Australii nie złapał jej telefonicznie i tylko zostawił wiadomość. Pani Lloyd nie mogła przyjąć pracy, więc...

-Co to ma do rzeczy?

-Bardzo wiele. Podczas naszej porannej rozmowy zezłościłeś się i powiedziałeś nie wiadomo dlaczego, że Johnny u ciebie długo nie popracuje, że jest niedorajdą... A on tak bardzo cieszył się z tego stanowiska, tak mu na nim zależało...

-O tak, wyjątkowo, tyle że dziś rano, trajlując o swoim małżeństwie, powiedział, że zostaje w Australii i ma zamiar wysłać mi pisemną rezygnację.

-To... to jeszcze tego nie zrobił?

- A wiedziałaś, że ma taki plan?

Nie było sensu kręcić. Varnie zrelacjonowała dokładnie swoją piątkową rozmowę telefoniczną z Johnnym i przyznała, że nie powiedziała mu, że są w Aldwyn oboje, a ona przyjęła pracę gosposi. Leon, zdumiony, kręcił głową.

- Varnie, słuchaj, nic już nie rozumiem. Troszczysz się o los tego Metcalfe'a, chronisz go bezustannie. Dla niego zgodziłaś się nawet na rolę służącej we własnym domu. Poszłaś na wszystko, żeby tylko nie stracił pracy, z której zrezygnował bez mrugnięcia okiem... Czy ty go kochasz?

Rozdrażnił ją swoim tonem.

- A dlaczego miałabym nie kochać! - wyrzuciła z siebie, uzmysławiając sobie nagle, że nie musi już niczego bronić ani osłaniać. - Johnny to mój... brat.

Leon wyglądał tak, jakby nie wierzył własnym uszom.

-Brat? - powtórzył oszołomiony, lecz za moment otrzeźwiał. - Zaraz, zaraz... Coś mi się tu nie zgadza. On ma na nazwisko Metcalfe, a ty Sutton. - Zbladł jak ściana. - Tylko mi nie mów, że jesteś mężatką! Nosisz nazwisko męża!

-Ależ skąd! Nie mam męża! - wybuchła. - Dobra, już wyjaśniam. Johnny to mój brat przyrodni. Jego ojciec ożenił się z moją mamą, kiedy miałam dwa lata...

-Varnie! - Leon patrzył na nią, jakby chciał wydusić z niej życie. - Proszę cię... Czy to jest prawda? Ja muszę wiedzieć. Tak czy nie?

-Tak. Czysta i absolutna. O matko, jak się cieszę, że nie muszę cię już oszukiwać! Nienawidzę kłamać. Wybaczysz mi?

-Dlaczego miałbym ci wybaczyć?

- Dlaczego? Ojej... - Uśmiechnęła się spłoszona. - Przecież wiem, że mnie lubisz.

- Lubię? - powtórzył chrapliwie. - Kobieto! Ja cię kocham! Do szaleństwa.

Varnie nie potrafiłaby powiedzieć, które z nich było bardziej zaskoczone. Leon wyglądał dziwnie. Nigdy w życiu nie widziała go w takim stanie.

- Naprawdę? - zapytała nerwowo.

-Co naprawdę? Przemogła ucisk w gardle.

-Naprawdę mnie kochasz?

-A myślisz, że dlaczego tu jestem? Na mózg mi padło z tej... z tej miłości - dokończył prawie ze złością.

-To chyba najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedziałeś - powiedziała miękko, a Leon momentalnie przesiadł się na kanapę i wziął Varnie w ramiona. Zakołysał ją czule i delikatnie pocałował.

-A ty? - Zajrzał w jej zielone jak morze oczy. - Czujesz do mnie miętę?

-Chyba wiesz...

-Jeśli chodzi o twoją osobę, mój radar zawodzi. - Uśmiechnął się, czekając, aż Varnie przewycięży onieśmielenie. - Oddałbym dziś wszystko za to, że nie wyrzuciłaś mnie z domu w ten piątek, gdy dowiedziałas się, że Metcalfe'owi... twojemu bratu nic już nie grozi, bo i tak sam z własnej woli rezygnuje z pracy. Zostałaś ze mną... Boże, jakie to szczęście! Odrzucałem od siebie to uczucie, wmawiałem sobie różne bzdury, ale w dniu, gdy zadzwoniłaś do mnie z gór i jak szalony gnałem, bojąc się o ciebie, rozumiałem, że nie mam po co udawać. Kocham cię! Kiedy pocałowałaś mnie... no wiesz, wtedy po kolacji w Ruthin Castle, myślałem że dostanę zawału. Ale jeszcze się broniłem, jeszcze nie chciałem dopuścić do siebie myśli, że...

-Ja też już wtedy zaczęłam się w tobie troszeczkę podkochiwać - przyznała.

- Ale dopiero później... w tych górach... kiedy cała się trzęsłam, a ty owinałeś mnie kołdrą i... zawiozłeś do domu... Kiedy okryłeś mnie w łóżku i ze zmęczenia nie byłam już w stanie nawet unieść powiek... Wtedy... To wtedy dotarło do mnie, że cię kocham. Całym sercem, całą duszą.

Zaczęli się całować i Varnie zapomniała o całym świecie.

-A teraz... odnalazłeś mnie i...

-I nie oddam nikomu. Nigdy. Pojadę z tobą do Au-

stralii, błagam, zgódź się. Uschnę bez ciebie, nie wytrzymam nawet jednego dnia. Mam za co dziękować Johnny'emu Metcalfe'owi. Chcę... Varnie, ja chyba zwa-riowałem, ale to prawda. Chcę, żebyś została ze mną na zawsze. Proszę cię o rękę.

Odsunął ją od siebie i popatrzył w jej rozpromienione, zielone jak morze oczy. Czują, że jest niepewny, że ogromnie się denerwuje. Nie kazała mu długo czekać. Uśmiechnęła się do niego, kiwnęła głową i zanim przytulił ją do serca, powiedziała przekornie:

- Zaręczyny były na niby. Ale żoną mam być prawdziwą?

- Najprawdziwszą, ty moja pyskata babo! Kocham cię! Reszta ich szeptów, śmiechów i słów utonęła w pocałunkach.